

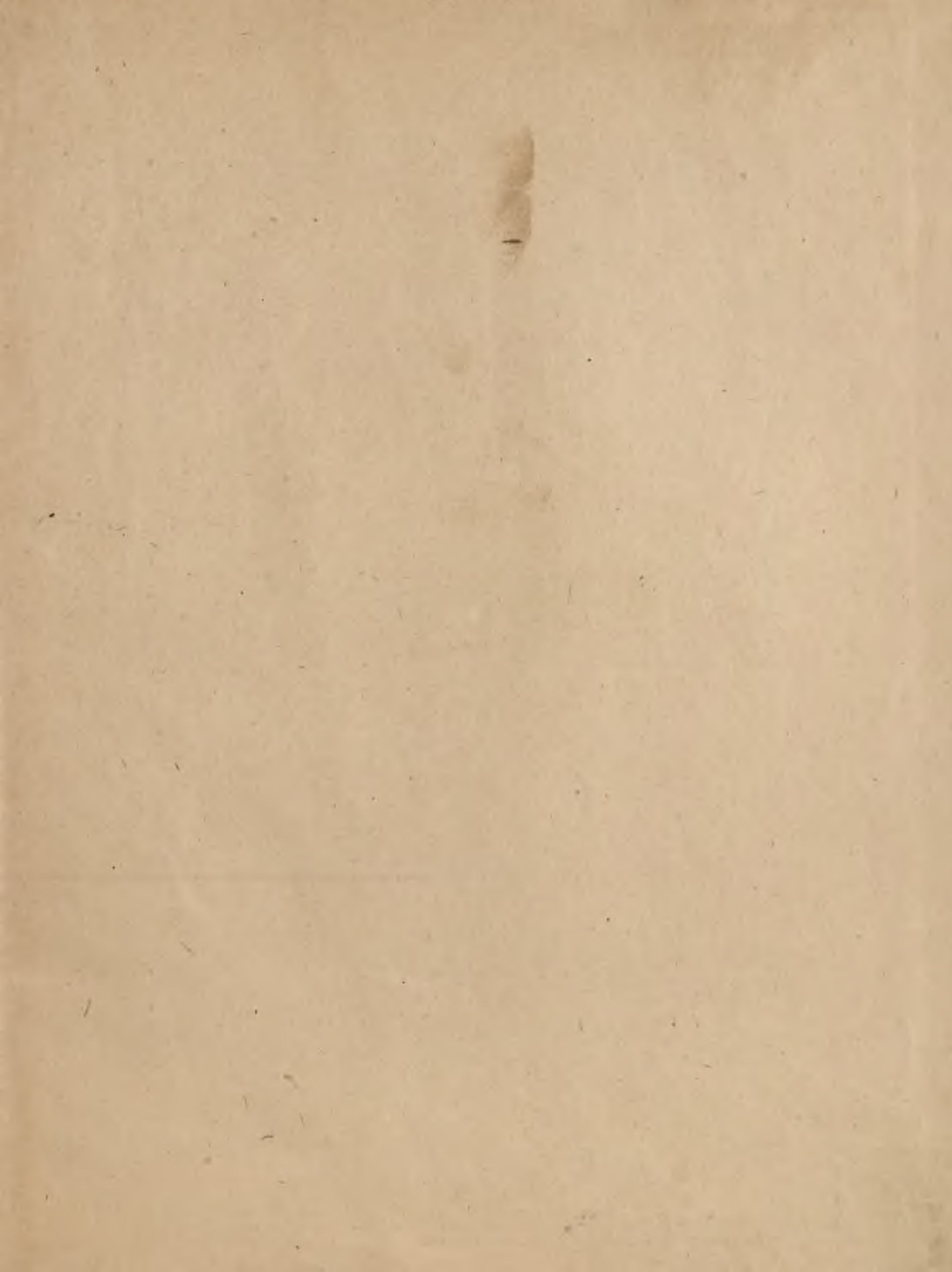


Stanisław Wasylewski  
Portrety panie wylicznych















• Stanisław Wasylewski •

Portrety  
parz' wytwornych

Lwów Księgarnia Wydawnicza A. Altenberga.  
Warszawa Gebethner & Wolff.

• MCMXXIV •

MUSEUM  
Im. Kozielskiego

Nr. 381





Portrety  
pani' wytwornych





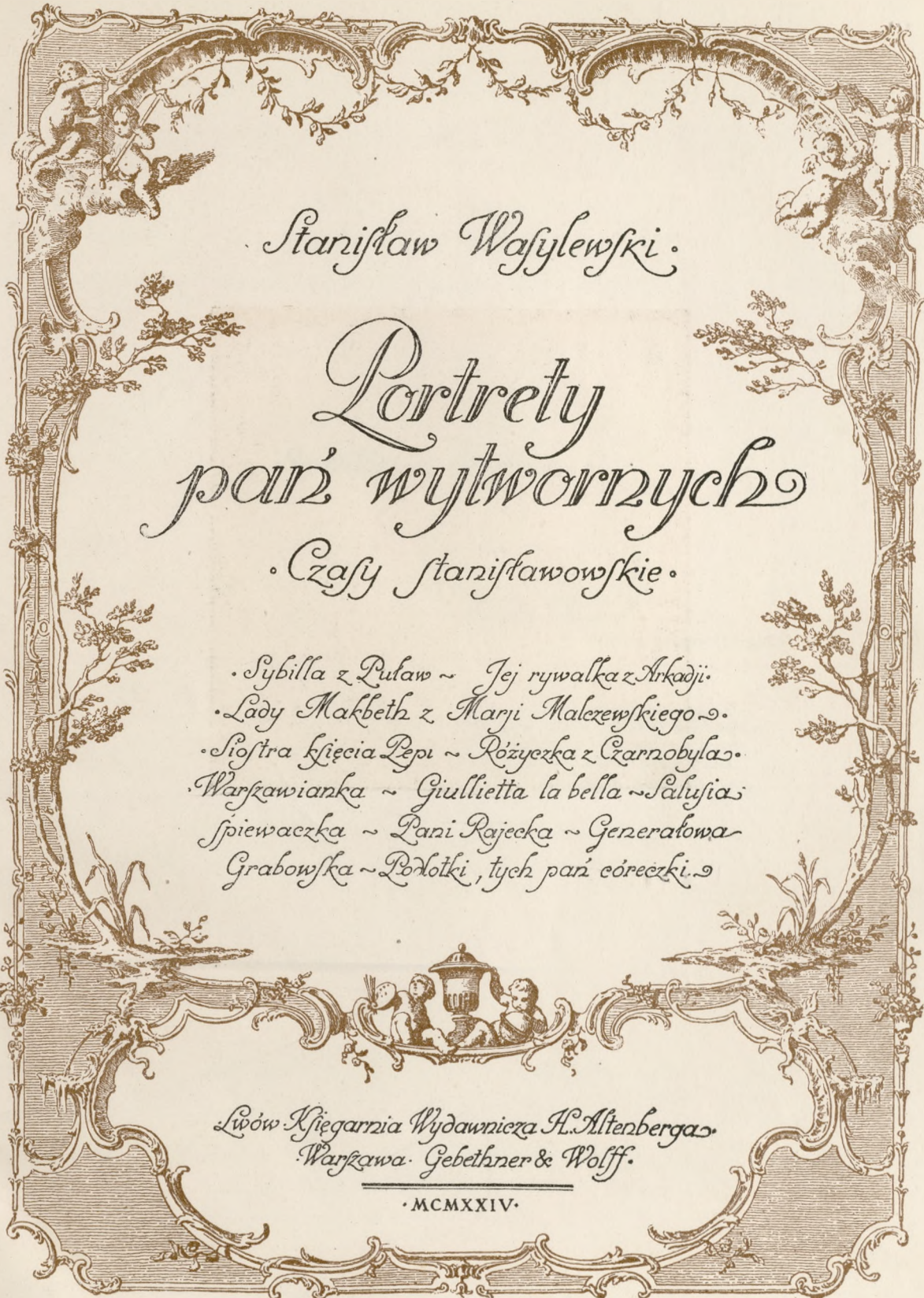


*Mme Vigée Lebrun (kopia?)*

*Galerja Czartoryskich w Krakowie*

Rozalja z Chodkiewiczów Lubomirska





*Stanisław Wasylewski.*

*Portrety  
pani wytwornych*

*• Czasy stanisławowskie •*

- Sybilla z Puław ~ Jej rywalka z Arkadii.*
- Lady Makbeth z Marji Malezewskiego.*
- Siostra księcia Pepi ~ Różyczka z Czarnobylsa.*
- Warszawianka ~ Giullietta la bella ~ Salusia  
spiewaczka ~ Pani Rajecka ~ Generałowa  
Grabowska ~ Podolki, tych pani córeczki.*

*Lwów. Księgarnia Wydawnicza H. Altenberga.  
Warszawa. Gebethner & Wolff.*

*• MCMXXIV •*





## *Sybilla z Puław*

*Les plus beaux yeux! les  
plus beaux cheveux!*

Markiz Lauzun (1773)

*Cnoty twe z wiekiem się nie postarzały  
Tys niemi codzien jak przed laty sławną  
Tak gwiazdy, w które nieba się ubrały  
Świecą jednak, chociaż świecą dawno.*

Franciszek Karpiński (1792)







J. B. Norblin

Kiernasz w Powązkach

**G**DYBY chcieć wskazać jakąś postać niewieścią, najlepiej ujawniającą, najobficiej skupiającą wszystkie rysy czasu tego, to nią może być tylko ona jedna. *Standard woman*, godna medalu z napisem: *vivere ausae...* ta, która odważyła się być żywą! Biografia ks. generałowej, to zaiste brewiarz epoki — jej profil duchowy, to prawie wypadkowa wszystkich linii charakterystycznych ery stanisławowskiej! Wspaniałe, występne, najmilsze, nieznośne i wszystkie znamiona XVIII-go wieku zbiegły się w tem usposobieniu i temperamencie. Jednego może warunku braknie do pełni reprezentacji: piękności. Izabella Czartoryska była tak, jak Ninona Lenclos. Zaledwie urocza. Na portretach pochlebiona *en beau*.

W czasie jakiejś wielkiej uroczystości w Puławach, już w drugim dziesiątku 19-tego stulecia, siwa już pani Wirtemberska zwróciła się do wiekowej staruszki z prośbą, która, nawiasem mówiąc, jeszcze onegdaj nie dałaby się pomyśleć. Namawiała mianowicie matkę do uczynienia spowiedzi generalnej z całego życia. Staruszka uśmiechnęła się na to: „I owszem, moje dziecko, i owszem. Radabym bardzo. Ale cóż? to nie-

możliwe, bo, widzisz, żaden ksiądz nie uwierzyłby, gdybym mu chciała powiedzieć wszystko!...”

Nie uwierzyłby. Sama tedy u schyłku wydziwić się nie mogła dymensjom przebytej drogi, nieprawdopodobnej ilości przeżyć i przeróżnym przemianom duszy.

Chodziła po świecie lat dziewięćdziesiąt z górą. Od Augusta III do Metternicha, od markizy Pompadour do Makryny Mieczysławskiej, widziała Woltera i Chopina, kosynierów Kościuszki i emisariuszów Zaliwskiego, Katarzynę II-gą i Napoleona. Przeżyła epokę saską, barską, listopadową. Pisano, mówiono o puławskiej pani tyle dobrego i złego, osobiście przeszła takie tragedje, farsy i wodewile, że możnaby tem obdzielić dziesięć innych kobiet i jeszcze starczyłoby na jedynastą.

Potomni panegirysi oślinili ją superlatywami. Przenajżywszą istotę zmieniono w nieznośnego manekina. W kusym, wiecznie tym samym kontusiku „Matki Spartanki” pokazywali księżnę Czartoryską narodowi Stanisław hr. Tarnowski, Ludwik hr. Dębicki i pani Duchinińska. Naodwrot współcześni jej złośliwcy wzięli ją sądzić z pozorów chwili, z momentu i zdrożnego szaleństwa. A jedni i drudzy zubożyli doszczętu bogactwo typu, zatracili nieoceniony styl postaci!...

Raz potępiana nad miarę, znowu do śmieszności chwalona, jakąż była w istocie — Izabella Czartoryska?

\*

Czterysta koni, dziesięć wielbłądów i dwanaście karoc pozłocistych wiozło ich w r. 1761-szym w podróż poślubną. Siedmnastoletnia Fletinżanka, mimo znaczny procent krwi Radziwiłłowskiej, Jagiellońskiej i Bourbonńskiej, nie była piękną; też na przekór wszystkim wysiłkom pań z „familji” wydawała się mocno „rozsypaną w edukacji”. Pana młodego już wkrótce zwać będą „najwykwintniejszym grandseigneur’e’m czterech części świata”. Ale i on nie wie, co począć z tępem biedactwem, które mu za żonę dała racja stanu. Na jej widok ludzie płakali. Oszepecona ospą, bez cery, drobna w sobie, z rzadkimi kosmykami włosów. Jedne tylko granatowe, wielkie, prawie spiczaste oczy błyszcząły w niebożątku. Naturalnie bogata. Dukaty w trzosach podróжных noszą nawet profil panny młodej. Stary Fleming, królik holenderski, miał bowiem własną mennicę. Naturalnie wcale nie umiała rozeznąć się na świecie. Mąż prowadzi ją najpierw do J. J. Russa, nie wiedziała kto to taki. Złożyli wizytę pani Geoffrin, nie rozumiała po co. Franklin dopiero zaciekał dziewczynę grą na harmonji. „Nie pojmowałam co do mnie mówiono,

nie byłam w stanie słuchać poważniejszych rozmów“ — wyzna później sama w pamiętnikach.

Już lepiej w Paryżu, na dworze księżny Orleańskiej. Zdobyła sobie w czambuł societę doskonałym *bon mot*. Nawiasem powiedziawszy,



Walerja hr. Tarnowska

Portret I. Czartoryskiej

dowcip był istotnie dobry. Ktoś z towarzystwa opowiadał cuda o dziwnym kraju na północy: *Li... Li... Lithuanie*. Otóż w tym kraju ludzie mieszkają przez cały rok w jamach śniegowych, a dzieci zjada codzień straszny czychający u wyjścia niedźwiedź. Ks. Izabella wybuchła śmiechem i oświadcza, że urodziła się na Litwie. Ogólne współczucie. Ciąg dalszy przy kartach. Jakaś wysoka kontessa do ks. Izabelli: „Tylko niech pani unika gry z moją matką, straszliwie oszukuje!“ Na to 18 letnia Czartoryska: „Ach tak!... A wie pani, że w tym kraju, w którym niedźwiedzie pożerają dzieci, żadna córka nie ośmieliłaby się powiedzieć tego o matce swojej!“



Rok cały trwał ten wójaż. Pan młody był pierwszym wychowawcą dziewczątka, tak jak później będzie pierwszym i najcyniczniejszym — demoralizatorem. Poznali Paryż, Amsterdam i Londyn. Dla zabawy używała czasem stroju męskiego i dlatego w Frankfurcie wzięto ją za duńskiego króla.



J. P. Norblin

„Societa“ w parku

Wróciła do Polski już oglądzona conieco. Pojęła niektóre „konszta“ i „maksymy“ życia. To przede wszystkim, że nie jest tak brzydka, jak mówili. Dowiedziała się, że ma oczy przedziwne, grające i zmienne. Nabrała uroku. Już chce czegoś, już umie chcieć od życia, od krawca i dekoratora. To i owo widziało się z nowej mody rokoka w salonie, w Trianonie, w teatrze, w buduarze. Umie też likworem białym pisać listy sekretne i podoba jej się to wszystko, *ce que plaît aux dames à Paris*.

Wrócili właśnie na czas bezkrólewia po Augustcie III-cim. Mało ją to jeszcze boli, że mogła zostać, a nie została, królową Izabellą, bo przecież mąż jej godniejszy był tronu od stolnika. Z innego powodu cierpi.

„Zdarzyło się, że wszedłszy zniemacka do pokoju zastałem ją kreślącą „moją cyfrę na zwierciadle pudrem posypanem“. Kto wszedł? Naturalnie Stanisław August.

„Zmieszana rzekła do mnie: „Mógłbyś mnie choć trochę kochać, choćby przez wzajemność!“

A więc i ona także, jeszcze jedna w orszaku... Ten król to drugi nauczyciel poloru i gracji. Na balach koronacyjnych (1764) w ogrodzie saskim,

gdzie wśród barwistych lampionów tańczono pod namiotami, wchodziła w polski świat. Nawet jej śmiertelna nieprzyjaciółka, ks. marszałkowa, musiała przyznać, że to wejście było, owszem, znośne. Potem codziennie wieczorem u króla; odwożona na zamek przez męża, który się uśmiecha. Filozof. „Ale nad miarę przyjaźni nic się tam nie działo“ — dodaje szybko król w swych pamiętnikach. Zaś ona po latach tak o tem będzie wspominać: „Ze wszystkich ludzi w mojem otoczeniu kuzynek, król Staś, był najtroskliwszy. Nie ulegałam mu wcale, ale miałam ogromną przyjemność, odbijając go najpiękniejszej kobiecie Warszawy“ (podobno krajczynie Potockiej).

...W tym właśnie czasie królowa Marja Antonina włożyła muślinowy kostjum pasterki i śpiewając tęskne berzeretty pasła białe baranki na łączkach Trianonu:



J. P. Norblin: Dziecię śpiące pod pomnikiem „Przeszłości“ w Puławach (1800)

*Linon dortmait dans un bocage  
Un bras par-ci, un bras par-là*

I zaraz odpowiedziało jej echo z Mazowsza. O pół mili od stolicy wyrósł zaczarowany gaj Powązek, polski Trianon w miniaturze i grotesce, pierwsze sarmackie monumentum cacanej bezmyślności rokoka.

Malowane łąbędzie pływały na sztucznie barwionych stawkach.

Na śniegu z waty kwitły róże z porcelany, myszki na łańcuszku, kanarki z wosku i koralowe poziomki ze śmietaną. (To wszystko potem potłucze Suworow).

W gajku zielonym skakały szorowane codzien kózki, ptaszki, węże, pustelnicy i autentyczne, żywe, holenderskie dziewczątka.

Były w Powązkach grotty, kaskady, szalety, stajnie nakształt Colloseum, świątynie dla nieznanych bóstw. Fałszywe ruiny, opuszczone młyny, a nadewszystko *les cottages*. Owe rozczulające, koniecznie słomą kryte, koniecznie rozwalone chałupeczki („w takowych Baucis z Filemonem żyła“). Pani i cały jej drobiazg (troje będzie wkrótce) w takich siedzą wiosną i latem. I księżę generał. Każde ma swoją chatynkę słomianą, pół — rozwaloną. Pan Norblin także. I przy gitarze śpiewają: „w słomą krytej niskiej chatce, przy ubogiej mieszkam matce“. Ale zajrzyjcie wraz z Trembeckim do wnętrza: Przepych bez ceny, luksusy bez granic! Z Paryża idą brzozy i kryształ, z Amsterdamu ostrygi, z Orjentu ko-bierce. Fabryki porcelany wymyśliły osobny rodzaj kosztownych tafelek na ozdobę łazienki. Trianon takiej niema. („Jest to rodzaj niszy, ukrytej pod kanapą, obitą drogą materją. Wanna składa się z 600 płyt złoto-oprawnych“ — pisze, rozdziawiwszy gębę, Imć Bernoulli). Na sielskich stołach chałupek zbiory monet i sztychów, na bierwionach miniatury szyldkretowe „w sposobie nieznanym“, a plafony właśnie pan Norblin ukończył.

Mieszkańcy tego ustronia unikają, ile można, stroju ludzkiego. Wesoła nowa moda przebrała ich za faunów i leśnych satyrów. Nawet niemowlęta (ks. Adam i autorka „Malwiny“) spowite cudacko, kwilą w dziwacznych pieluchach orjentu. „Przyjaźń nas łączy, a wesołość ze szczęściem wypełnia dnie i godziny“. Maskarada na codzien, reduta w jasny dzień!

Wieczorem zaś tłum gości zjeżdża karocami. Fircyki, ambasadorzy, wydrwigrosze. Już przyjechali w maskach, w larwach i przebraniu. *Une fête villageoise!* Powitał ich najserdeczniej ks. generał i wnet rozbiegli się tłumnie po gajkach, bo sekret w tem, by dojść szybko, jaki kostjum i barwę wzięła dziś na się wróżka i królowa z granatowemi oczyma.

„Już księżyc zeszedł“ i zmienił gajk w srebrną, osjanowską grotę Fingala. Szukając maski i barwy gospodyni rozbiegli się goście po zagajniku

...Chowa się gdzie kto może, ten się wyżej krzepi  
Kto się falbany leniwie uczepli  
Tamten po sznurowaniu szczeblujący dzielnie,  
Kędy zaszedł tam myśli mieszkać nieśmiertelnie...

Że trudno znaleźć ks. Izabellę, nie dziw, bo wiemy i my, jak bardzo odmieniła się dawna Fleinżanka... Sama tego świadoma, bo mówi:





*Le Prince J. B. (1733—1781)*

*Portret ks. I. Czartoryskiej*

„Nauczyłam się zręcznie podnosić powaby mojej buzi i też duszyczki...

„Żadna z kobiet nie posiadała tak subtelnej zalotności...

„Na szali mych powodzeń przeważało szczęście...”

Teraz zaś chroni się szybko przed pościgiem. *Un bras par-ci, un bras par-là*. Skryła się za pniem grubego dębu i znikła. W tym pniu są drzewiczki tajemne, w tym pniu wewnątrz stoi „szepczaczka” albo „kozетка na osób dwie”. Za nimfą nie wejdzie do wnętrza nikt, chyba ten, kto zna tajemny parol i sekret skrytych drzwi. Kto zna? Zawsze kto inny. Kupido Powązkowski też zmienia codziennie szaty. Może król, lub markiz Conflans, lub Xavier Branicki, a najpewniej Mefisto z oczyma demona, którego imienia lepiejby nie wymieniać, bo osjaniczny księżyc skryje się natychmiast w czarnych chmurach stuletniej martyrologji — Mikołaj Wasiljewicz Replin!...

„Wnet przekonałam się, jak bardzo jestem mu drogą”. „Familja” pojęła w lot, ile to warte. Król cofa się natychmiast, nie chcąc, broń Boże, wchodzić w drogę wszechmożnemu. Na wyścigi umacniają to *liaison*. Zimno, cynicznie popychają westalkę Powązek w objęcia ambasadora. Bądź-że nam ofiarą na ołtarzu miłości lubej ojczyzny. I przebłagaj prokonsula i odwróć grozący cios. Cios zaś wisiał w powietrzu: Nakazana przez Petersburg konfiskata dóbr.

Posłuchała i poszła. Nie można powiedzieć, że zamknęła oczy, patrząc na politykę ambasadora, gdyż, jako żywo, nie wiedziała co to takiego ta polityka. Przy szmerze kaskad, przy blasku księżyca, znalazła w ramionach jego miłość. Kocha, jest posłuszną i tylko dlatego przykładą ręką do wywiezienia senatorów (1767) i tylko dlatego z nim siedzi potem w środe popielcową w puściuteńkim dla demonstracji teatrze. Wie dobrze, że „miłość podległa jest często przypadkom przeciwnym”, a także to, iż „nawet uniżające kondycje nie są czułemu sercu nieznośne”. Kondycyj takich nie braknie. Plotka nie oszczędza nawet jej macierzyństwa. Jej syna (1769) zwa Replinowiczem, córkę najstarszą (1768) — Ciołkówną.

Nikoła Wasiljewicz kocha ją naprawdę i najgorzej na tem wychodzi. Traci ambasadę i łaski imperatrycy. Wobec Polski był dość *cruel*, wobec Czartoryskich zamało. Jak śmiał wstrzymać rozkaz konfiskaty dóbr?! Odwołany musi wyjechać (1769).

Pudrowane łabędzie pobladły. Została sama wśród plotek, wyrzutów familji i tęsknoty. Na uroczej kozetce w Powązkach siadywał z nią teraz — aż do wyjazdu zagranicę — Branicki.



Ta druga podróż ma już cel jasno wytknięty. Najpierw po to, by się spotkać z Repninem, powtóre dla zabicia nudy, która codzien więcej przesłania Powązkowskie cuda. Nareszcie z żądzy szukania przygód. Tych samych i takich samych, których pełne są pochłonięte świeże romanse: Dorat, Richardson, pani de Tencin i pani Genlis. Nie myślała może płocha pani, iż rzeczywistość przejdzie oczekiwania lektury.

Błękitne wody w Spa teraz dopiero wyglądają uroczo. Łasi się do wszystkich spotykanych diuków. Hr. de Guines. Płytkie flukta swawolnej „rozpustności“. Podobno znowu wyładniała. *Les plus beaux yeux, les plus beaux cheveux, un très joli pied* — zawoła już wkrótce z zachwytem następcą Repnina. Demoniczny mefisto Północy snuje się za nią jak cień i... płacze. Poznała Lauzuna. O lusztuku! Niedoszły amant Marji Antoniny, chowany na kolanach p. Pompadour. *I love you*. Przysięgła mu miłość i obiecała wkrótce skończyć z tamtym.

„Amant żaloszny“ został „wyperswadowany“. Powiedziała mu tak, jak on biskupom na Sejmie: *Paszot won!*

Więc ci obaj, ten „wyperswadowany“ i tamten, szczęśliwy *in spe* pędzą za panią do Anglii. Zostawiła ich samych (niech walczą) i wraca do Francji (Branicki). Lecz zające w perukach nie skore do pistoletów. Długa rozmowa, zapisana w pamiętnikach Lauzuna. „Uwielbiam księżnę i wszystko poświęcę dla jej szczęścia“ — woła Mefisto północy. Każdy postanawia być szlachetnym, a obaj truchleją na myśl, żeby ich tu nie zmacał ten Branicki, którego gwałtowne formy surowo potępiają... Epizody rozciągają akcję. Czasem mąż, wiedzący o wszystkim, zjawi się i uśmiechnie, czasem jakiś genialny Gaubius, lekarz chorób, które się jeszcze wtedy nie nazywały histerją. W scenach zazdrości jawią się damy rozmaite: *madame* St. Leger, jakaś Repninowska Czernyszewa, i peruwianka Lacheresia.

*Enfin* rola Nikoły Wasiljewicza smętnie skończona. Repnin zagroził podwójnem morderstwem i samobójstwem, rozplakał się i wybiegł z pokoju ze słowami: Przynajmniej ty bądź szczęśliwa!



J. P. Norblin

Ks. Izabella Czartoryska



O tak, jest szczęśliwa na wieki z Lauzunem. „A teraz drogi hrabio opowiem panu historję mego życia“. Potem zalała się łzami i — zdradziła go. *Oubliez! l'amour n'est qu'un supplice!* Z kim, niewiadomo. Na wszelki sposób markiz postanawia się strzelać z Branickim. Postanowił. Pani Ogińska, rozczulona cudownością tej sytuacji, posyła mu w prezencie araba pełnej krwi i parę kosztownych pistoletów. Odmyślił się.

Spazyny, rzucania się do nóg, krwotoki i przysięga: umrzemy razem!

To coś więcej niż pani de Genlis?! O tak! To już Boccacio i Brantome, a zaś kochankowie sami mówią, że to tylko żywe naśladowanie romansu Dorata: *Sacrifices de l'amour*.

Nowy amant na widowni: Rzewuski. Lecz i tamci dalej są: Lauzun i Branicki. Tysiąc powikłań. Znowu przysięgi na klęczkach, wodewile pożegnań, trajedje oddaleń.

Potem *qui pro quo* za kotarą, *malheur irreparable* w hotelu, skandal w szafie. I prezentacja na dworze Marji Antoniny. I najobrzydliwsza książka, jaką kiedykolwiek napisał mężczyzna: Pamiętniki markiza Lauzun. Akt zemsty, za wszystko co wycierpiał i jeszcze wycierpi. Za te późniejsze gonitwy z Paryża do Warszawy. (*Je passais deux fois vingt quatre heures à Powązki*). Wszystko działo się w latach 1771 — 1776 wpośród dekoracji, jakich mógł pozazdrościć Rzym starożytny, Alhambra i Kleopatra. Guerin, Watteau i Boucher kładli im wieńce na głowy, krawiec Ludwika XV-go zamienił ludzi w strojne laleczki z bajki. I tylko coraz brakło dukatów, tych holenderskich, z popiersiem Fleminzanki.

Gdy nagle refleksja!... Zdyszana tanecznica przystanąła. I po tej szalonej, dziesiątek lat trwającej reducie jęła patrzeć w zwierciadło. Pudrowane rokoko zaczęło jej szeptać teraz zgoła co innego. Odkryła wszystką przepaść nicości swego życia. Jakiś żal może, tęsknota, i wpływ wydarzeń niektórych? Dostrzegła różne rzeczy w sobie, naokół siebie, przedtem niewidziane, niedostrzeżone.

I całą mocą temperamentu zawróciła z drogi!

W spopieliałych głowniach zatlił żar nowy. Nagle, rzekłbyś, przez wieczór, dokonała się ta przemiana. Podobnie szybko, niepostrzeżenie, całkowicie, jak i tamta pierwsza.

Przedtem tępa, nieokrzesa Fleminzanka przeobraziła się szybko w nimfę Powązek *d'une grâce inimitable*. Teraz swawolna pani z Brantome'a została mądrą Sybillą Puław.

Przeróżne i wysokie cele zabłyśły przed granatowemi oczyma:

Zbudować wspaniałe *Polish Museum* na wzór angielskiego, panteon, w którym Jagiellońska przeszłość znajdzie schronienie i pamięć.



*Sposob umieszczenia kamienia na wyrycie jakiego napisu*

Sztuch z dzieła ks. I. Czartoryskiej „Myśli o ogrodach“

M. U. 4. 1. 1. 1.  
Im. Kazimierza Żelazkiego  
Winiary & Parki



Stworzyć medycejskie *corteggio* z tych tam Norblinów, Książninów Niemcewiczów.

Cel trzeci bardzo poetyczny: „Mam wiele wdzięczności dla drzew i kwiatów, które osładzają mi życie. Chcę postawić im pomnik“.

Cel czwarty, właściwie pierwszy, najdroższy: Syn Adam. Poprowadzić go chce wysoko... wysoko...

Tak księżna Czartoryska z Powązek, Spa i pamiątek Lauzuna, stała się matką, Sybillą, ogrodniczką, została czynną, mądrą i zasłużoną pracownicą odradzającej się Polski.

Dukaty, któremi dawniej opłacała wstążki, peruki i dziwaczne bibeloty, idą teraz na zakupno dzieł sztuki. Umie poruszyć swem kolekcjonerstwem Europę tak, jak przedtem budziła podziw przygodami. Z Anglii, Francji, Włoch zbiegają do Puław marmury, obrazy, muzealja. Z całej Polski „lube pamiątki“.

Ongi biegała za Lauzun'em, teraz ściga jakąś staruszkę, która posiada rzekome krzesło Szekspira. Podstępów, któremi przedtem igrała z Nikołą Wasiljewiczem użyje w Poznaniu, by cichcem porwać z grobowca — kość Bolesława Chrobrego.

I dumna jest, że odkryła w Anglii Mikklera. (Ten genialny pono ogrodnik, Rembrandt gazonów, stworzył kulturę ogrodową w Polsce stanisławowskiej i uszlachetnił połowę siedzib magnackich).

Z gorączkowej akcji ks. Izabeli przeziara dużo naiwności, dyletanizmu, dziecinady i bufonady. Sposób patrzenia ten sam.

Miejsce koralowych poziomek ze śmietaną zajmuje w Puławach „cegła z domu Dąbrówki“ i „tabakiera Wierzynka,“ od pudrowanych łabędzi droższym jest teraz ks. generałowej „autograf św. Wojciecha“ lub chociażby „but Stan. Augusta, w którym go porwali konfederaci“.

Tak. Ale oprócz sentymentalnych śmieszności także — Raffael, Rembrandt i Leonardo. Oraz to wszystko w Muzeum Czartoryskich, co dziś jeszcze zjeżdża oglądać Europa.

Już wówczas budziło podziw. Przedtem Lauzun nazywał księżnę *l'incomparable amie*. Teraz Lavater. Różnica. *Votre société par l'amour des arts est la plus aimable confédération, qu'a vu la Pologne* — pisze boski Delille w r. 1785.

Ileż zmian w samej właścicielce, która dawniej umiała tylko „podnosić powaby twarzyczki“. Teraz wzbudza admirację „pamięcią obszerną i nauką, nietyle wszechstronną, co miłą i zajmującą“. Dawniej *vivere ausa est* teraz *sapere ausa*.



Nadmiar gry i pozy. Zapewne, ale zarazem czyn cywilizacyjny. I policzek dany bezużytecznym Tulczynom, Nieświeżom...

Najwyżej staną Puławy w epoce Sejmu Wielkiego. Miała wówczas Polska dwa majestaty, dwie stolice, dwa dwory — królewski i czartoryski. A podczas burzy podziałów tam znalazł schronienie dobry geniusz starej Ojczyzny. „Straciliśmy Rzeczpospolitą — powie z głęboką wiarą Koźmian — zostały nam Puławy“.

W dniach wielkich świąt Sybilla z Puław kładzie na się ciężki i wspaniały łańcuch Anny Jagiellonki. Nietylko muzealną cenę miał dla niej ten zabytek, także uosabiał najżywszą tęsknotę. Marzenie o tronie królewskim dla któregoś ze swych dzieci nie odstępuje nigdy ambitnej pani. Tylko dlatego unieszczęśliwia córkę, czyniąc ją żoną zdrajcy i łotra, potem syna swata daremnie z królowną szwedzką.

Dosięgają ją gromy i dopusty losu. Najnieszcześniejsza matka straci w tragicznym wypadku córkę Teresę, patrzy na nieustanne łyżki ks. Marji, potem synów będzie musiała oddać Katarzynie, i przeżyje bardzo drażliwy moment miłości jednego z nich dla Cecylji Beydale, która także była jej córką. Nareszcie wnuk w służbie rosyjskiej będzie na jej oczach strzelał z dział do puławskich komnat. A w tej mierze triumf tylko jeden: ksiązę Adam. Najdzielniejszy i najzasłużony z mężów stanu w XIX stuleciu. A te jej listy do tego syna, i mądre i przesłicznie tkliwe, można dziś drukować w podręcznikach.

„Matka Spartanka“. Propagatorka polskości w stroju, obyczaj, literaturze. Agituje przeciw frakom i francuskim powieściom, w Berlinie przed Niemcami tańczy kozaka... dla propagandy. „Niemasz prawdziwie nad Polskę!“ *Je ne désire rien tant au monde que de revenir en Pologne (1789)*.

W tym czasie zaangażowana w polityce. Stała się egerją opozycji magnackiej w epoce Sejmu Wielkiego. W Puławach zjazdy przeciwników Stanisława Augusta. Jej stosunek do króla, wszedł w nową fazę: po głuchej miłości, po siostrzanej i najczulszej przyjaźni rozgorzał zaciekłą, wzajemną nienawiścią. Ręką w rękę walczy z mężem przeciw królowi. A ten król ogłasza: „kto pójdzie za księciem generałem, będę go ścigał na fortunie, na przyjaciółach, na dzieciach!!“.

Przystąpiła całym sercem do stronnictwa patriotycznego. Jako markietanka bierze udział w manewrach r. 1791, porywa wpływem, w tym i owym budzi sumienie, pisze pieśni dla żołnierzy: „Hej, hej, żołnierze! Serca nasze radość bierze. Wy kochacie nas!“

Przedziwna, niespożyta, jakże żywa...

Rok insurekcji. Naczelnika w sukmanie wita z entuzjazmem, trochę lęka się, ale patrzy z podziwem. Korespondują. „Jak mnie źle sądzisz, księżno, i jak nie wiesz, serca mego... Bóg widzi, że nie francuską zaczynamy rewolucją!“ Wypieściła sobie już dawniej myśl wcale sprytną: ożeni go z córką, księżną wirtemberską. Wszystkie inne projekty zawodzi, lecz ten, taki demokratyczny, może przecież...

Zawiódł i ten. Legły w gruzach nietylko królewskie ambicje, ale i medyceuszowska kolekcja Puław — nie załamała się linja pędu życiowego księżny. Z głębin wieczyście młodej duszy dobywa nowych sił i zaczyna — pisać!

Jedyna prawie literatka wśród pań rokoka, dla których ortografja polska była zawsze tajemnicą o siedmiu pieczęciach.

Dziwy niepojęte. Bohaterka pamiętników Lauzuna wydaje pierwszy podręcznik historii ojczystej dla ludu „Pielgrzym w Dobromilu“ (1803), zakłada pensje dla dziewcząt, zbiera „koło wielce szanownych i znakomitych dam“, które czuwają nad planami szkół żeńskich i wizytują zakłady.

I jeszcze „Myśli o ogrodach“ (1807). „Po klęskach ojczystych, gdy inne zabawy i rozrywki straciły powab, ta jedna odrywała mnie od bolesnych wspomnień“. Rozmiłowała się w szarym krajobrazie polskim. Całe dnie spędza nad łąką wiślaną i w oranżerji. Znalazła dwie, nieznane gdzieindziej na świecie, rośliny, pomarańczową azalję i pewien dziwny głóg. („Polska, ach Polska! I czegoż w niej niema? Wszystko, oprócz szczęścia“).

A potem w Księżstwie i Królestwie już śliczna postać matrony. Zgrzybiała fizycznie, duchem dziewczę, lotne w nieznużonej myśli. Win swej przeszłości nie tai, czasem w poufnej rozmowie sama opowiada. Stała się widomym znakiem mocy, ufności, wiary w przyszłość. Złoty łańcuch Anny Jagiellonki, który w dniu świąt uroczystych kładzie

na szyję ks. Izabella, już teraz nikogo nie razi. Widzą w nim

ludzie symbol dostojenstwa przeszłości i straż nad skarbem

dawnych wieków. „Nie przyszedł jeszcze czas na

oddanie hołdu należnego pamięci tej dostoj-

nej pani“ napisze A. E. Koźmian

dowiedziawszy się o jej

śmierci.

II.

*...Jej rywalka z Arkadji*

*Pod czyjeż prawa zechcesz pójść Pani  
Z tym wdziękiem serca i twarzy?  
Stają się wszyscy Twoi poddani,  
Którym się Ciebie znać zdarzy...*

Trembecki.







Pfersch J.

Łuk starożytny w Arkadii

**O**D PODLOTKÓW do siwych matron, przez całe długie życie współzawodniczyły z sobą. Na wszystkich polach i też w ambicjach wszelkich, jakie tylko władać mogą sercem kobiety. Przez pięć dziesiątków lat rywalizowały i zazdrościły sobie Sybilla z Puław i Westalka z Arkadii

Dwie królewskie lwice, nad strojnym orszakiem dam stanisławowskich panujące, *inter paribus primae*, antagonistki godne siebie, *la princesse générale*, Izabela z Flemingów, — *la princesse palatine*, Helena z Przędzieckich.

Ostatnia wojewodzina wileńska, w przeciwieństwie do ostatniej generałowej ziem podolskich, uchodziła za piękność. Mimo siwych od młodości włosów była o całych sześć lat młodszą od rywalki. (Ta grecka tiunika na portrecie to jej strój ulubiony, podobnie jak złota przepaska na włosach, lub wieniec świeżych, jaskrawych w barwie róż. „Patrzcie na różyczki w śniegu!“ — po tym afektowanym okrzyku poznawano, że wchodzi na salę.)

„Jakże niezwykle piękna — świadczy w swych memoirach ks. Ludwika Pruska. — Rysy klasyczne, szyja śliczna, białe ręce i okrągłe ramiona w niczem wieku nie zdradzają, a siwe, białe włosy świetnie kontrastują z świeżością cery.“

Nietylko piękniejszą była Radziwiłłowa od Czartoryskiej. Lotniejszą także. Artystka z urodzenia, myślicielka z natury. Duchowo bardziej uposażona, więcej subtelnego uroku duszy, więcej pierwiastków twórczych, „malowniczości“, jak wówczas mówiono. Najpierw śpiewa. „Najcudowniejszy posiadając z głosów, umiała jak Amfijon poruszać śpiewem kamienie, które w tan puszczone ułożyły się nagle w przybytek bogów — Arkadję“. Potem pisze. Po francusku naturalnie. Jej „Myśli o sztuce“ (niedrukowane dotąd) zdają się stać o wiele wyżej nad konwenansem tamtych „Myśli o ogrodach“. Świat zna tylko z lektury i marzeń. Gdy rywalka całą swą niemal kulturę zawdzięczała wojażom, Radziwiłłowa nie jeździ nigdzie. — *Cette femme etonnante n'a jamais vu l'Italie ni la Grèce!* (hr. Tarnowski).

Raz czy dwa razy była w Berlinie, raz czy dwa razy w Petersburgu.

Gdy jednak pani Powążek *esprit* wycęża, by wciąż uzupełniać „defekty rozsypanej edukacji“ — tutaj przeciwnie. Groteskowość usposobienia Radziwiłłowej, niepojęta rubaszność form, zawiesziste słownictwo, śmiech podobny do ptasiego pokrzyku, wszystko to dziwnie przyćmiewało wyjątkowe zasoby duszy. Raziła nawet Katarzynę II gą, która dała jej to odczuć w sposób dosadny, niiby to strofując suczkę swoją za nadmiar swobody (*Princesse Golovine*). Ale fircykom nie wadziło to bynajmniej. *Vous êtes vraiment la fée merveilleuse!* — pisze labuś Dufresne, jeden z tysiąca uszczęśliwionych.

Od najmłodszych lat rywalizują, od tej już chwili, gdy w r. 1764, obie, młoda mężatka i czupurny podłotek weszły w świat na balu koronacyjnym w ogrodzie saskim.

O pierwszeństwo, o poetyczność i oryginalność ściagały się. I o nienasytość ambicji. Pojedynek miał długo pozostać nierozstrzygnięty. Trochę wcześniej rozsądził spór stary galant i komplementysta ks. de Ligne. Na niekorzyść Alcyny z Powążek, na awantaz Armidy z Nieborowa. „Udarowana większym zasobem poezji i filozofji bierze górę nad tamtą“.

A one patrzyły na się z ukosa, licząc skwapliwie sukcesy. Zarzucały sobie wzajem nieszczerść. Zupełnie słusznie. Darzyły się najśłodszą, cukierkową adoracją. Obłudnie. Dziwnie podobnie układało się tam niejedno:

Gdy w Powążkach królował Repnin, Arkadją później na tych samych prawach rządził Stackelberg. Tamci państwo mieli intymną lożę na teatrum, ci jeździli po Warszawie w 6-konnej karocy, z paziem konnym z lewej strony, koniuszym z prawej i dwoma laufkami na przedzie.





*Dedicated.*  
*to His Highness*  
*Prince Michael Radziwille*  
*Palatin of Vilna &c. &c.*  
*by His most devoted humble Servant*  
*Charles Gröll.*

Potem sybilla rzuciła Repnina i zakochała się w panu de Lauzun, zaś westalka z Nieborowa pożegnała Stackelberga i rozmiłowała się w ambasadorze angielskim panu de Whiteworth. Tamta jedzie za Francuzem na zachód, nad Sekwanę, ta dąży za Anglikiem na wschód, nad Newę. Rzeczy żałosne tu i tam. W jednym wypadku sładzi je Rzewuski, w drugim nowy poseł rosyjski de Sievers!... Obok rywalizacji erotycznej — macierzyńska. Obie szczycą się i słusznie swymi dziećmi, rade gwałtownie wygrać za ich przyczyną wielki los życia. Czartoryska wysłała ks. Adama do Anglii, Radziwiłłowa Ks. Antoniego do Getyngi.

Potem *princesse générale* wydaje córkę za Ks. Wirtemberskiego. Są w tym marjażu ukryte, dalekie kombinacje dynastyczne. Ukryte... dalekie? *Princesse palatine* znalazła dla siebie kombinację dynastyczną, bliską i, tak jej się zdawało, łatwo ziszczalną. Ożeniła syna z Hohenzollerówną.

Od dawna już patrzyła z trwogą na wznoszone przez rywalkę cuda Powązek i stwierdzała z boleścią, że zbyt wiele o nich mówią. Przeto postanowiła zaćmić je — Arkadją.

Była osobą o wysokiej, naprawdę niepospolitej kulturze artystycznej i patrzyła z góry na reductowe bawidełka i pasterskie figuryнки. „Sztuka może być dwojaką — powiada w swej rozprawce — wzniosłą, albo przyjemną tylko!“ Te twoje Powązki są przyjemne tylko, ja stworzę dzieło wzniosłe!

W bolach zazdrości, kołysanej słodką nadzieją zaćmienia rywalki, przychodził na świat ten piękny i dziwaczny pomnik nowoklasycznego stylu, wspaniałe dzieło mądrej i dziecinnie zawistnej kobiety.

Ittar wznosił Colloseum, Staggi rzeźbił kolumny, Płoński rozcierał farby, Orłowski malował tła plafonów. Norblin pracował tu i tam, znakomicie lawirując między dwiema chlebodawczyniami. Podzielił swój talent między Powązki i Arkadję. Chociaż nie! Gdyż Radziwiłłowej dostało się najwspanialsze dzieło mistrza, najlepszy plafon, jaki kiedykolwiek powstał w Polsce: „Jutrzenka“.

W najbardziej szarem ustroniu Mazowska przymuszała naturę do piękności. Na błotku zarosłem olszynką pod Nieborowem, stwarzała wąwozy, jeziora, strugi rwących rzek, na morzu piasków łowieckich budowała góry, arkady, akwadukty. Sprowadzała posągi, popiersia, perskie makaty, greckie kadzielnice, rzymskie kassolety i „pajęczce Indów szale“. Gdzie co ujrzy zabiera bez żenady, podobnie zresztą jak i tamta. W r. 1784 pisze król do Bacciarellego: „Uproś Waść wojewodzinę odemnie, by nam pozowała jako Muza lub Minerwa. Lecz przytem uważaj, żeby nam czegoś nie ukradła (*Mais prenez bien garde, qu'elle ne vole rien chez nous!*)

Właśnie upadała w trzecim rozbiorze Rzeczpospolita, gdy nad Bzurą stanął jasny i szczęśny gaj bogów arkadyjskich.

Z krańców świata — przypuśćmy — zjeżdżali podróżnicy, radzi ujrzeć dziwo, chwalone i wielbione powszędy w memoire'ach i galantnych leksykonach, w listach filozofów i komplementach cesarzy. *La princesse palatine* oprowadzała gości sama.

Właśnie przebiera się w kostjum greckiej kapłanki i kładzie na szyję złoty łańcuch z kluczem brylantowym do wrót świątyni; już przywołała na pamięć najtęskniejsze cytaty z poetów świata i będzie objaśniać swe zbiory językiem Tassa, Klopstocka, Delille'a i Milтона.

*J'ai fait l'arcadie et j'y repose.* Stworzyłam sobie Arkadję i w niej odpoczywam. *M'invallo altrui per ritrovar me stessa.* Odbiegam drugich, aby znaleźć samą siebie.

Z łona czarownych gajów wybiega w przestwór woń niebiańska. W kassoletach płoną pachnące hubki i tybetańskie czar-zioła.

W pośród kłębów słodkiego dymu kadzielnic rysują się kształty ŚWIĄTYNI.

Drżycie z podziwu *voi, che'ntrate!*

U stóp posągu bożka milczenia przy wejściu ciurka z ust srebrnej amfory pachnąca woda różana. Na rozkaz kapłanki ochłodziś w tej wodzie wędrowcze sprószone codziennością członki. Nie ty pierwszy! Już przedtem uczynili to Delille i Aleksander I, omal że nie Katarzyna II i prawie Napoleon Bonaparte.

Na marmurowym ołtarzu płonie wśród drzew pomarańczowych święty ogień, którego strzegą posągi Westalek.

Organy, ukryte w przyległej niszy, unoszą na falach tonów duszę gościa wzwyż. A sami aniołowie — jak świadczy inskrypcja w mahoniu rznęta — wychylają się z niebiosów, by posłuchać, jak gra i śpiewa kontraltem Helena z Przeździeckich Radziwiłłowa.

Pod boazerjami ścian wiekowe krzesła rzymskich senatorów, na malachitowych stołach bezcenne okruchy rzeźby helleńskiej, wazy, formingi, trójnogi i urny.

W górze białoskrzydła Jutrzenka Norblina pochodnią dnia jasnego otwiera szafirowe wrota świtu...

A przy świętym ogniu wyroczni czatuje na westalki miłość i „przyjmuje w sekrecie hołdy, którychby jej jawnie złożyć nie śmiano...”

Maluchny amorek z marmuru śpi na murawie. Psyche opuszcza lampę z niebiosów, świecąc mu prosto w oczy. Oby go tylko zbudzić nie chciała!



Z świątyni prowadzi kapłanka gości tajemną ścieżką ku dalszym i osobliwym skarbow gaju bogów.

Tu zachwyca ich Panteon, wsparty na kolumnach w „porządku gotyckim“, tam łódź Charona na jeziorze. *Helas!* I pasterski szalet leśnego Pana, lub głązy rzucone ciężko ręką Tytanów. I kryształowy pałac o ścianach z powietrza. I Kleopatra w białym alabastrze na trawie.

W tym czystym i wzniosłym przybytku sztuki helleńskiej znajdzie też dla siebie niejedną siurpryzę łzawo-czułe serce epoki.

Oto „kaplica tybetańska“ i „przybytek gocki“. Oto „grobowiec złudzeń“. Okrąża go „rzeka zapomnienia“, rozlewając z wolna swoje ciche nurty wśród płaczących wierzb, które tak boleśnie odzierają życie z ułudy. Albo „ustronie melancholji“ wraz z „świątynią dumania“. Albo „przybytek nieszczęścia“ i trzy przy nim ołtarze: „miłości“, „przyjaźni“ i „wspomnienia“.

Pod łukami starożytnego akwaduktu perlą się szumiące nurty kaskady i „wpadają z łoskotem w otchłań jeziora, w którego lustrze niebo i gwiazdy widzą się zadziwione!...“ Ta myśl o zadziwieniu nieba, ta myśl... godna jest pióra Milтона — wykrzyknął pewien Francuz, usłyszawszy ów frazes z ust wojewodziny. Tymczasem w kryształowe ściany ośmiokątnego pałacu z powietrza wbiegł promień księżycy, i przeglądając się w każdej szybie z osobna, utonął w głębi przejrzystych fal jeziora.

W sypialni rozsunała się draperja z japońskiego jedwabiu i szarym półcieniem koi „wzburzone flukta wyobraźni“. Kompas z złoczonego brązu ukazuje godzinę spoczynku...

Szczęśliwcy, którym dane było zwiedzić te cuda, nie mieli z zachwyty. I wielu było takich, jak baron Heyking, poseł kurlandzki, który powróciwszy z Nieborowa w r. 1784 notuje w swym pamiętniku: „Arkadja to czarodziejskie dzieło wróżki! Jej piękno nie da się opisać! Księżna była na tyle łaskawa, że mi sama cuda owe ukazała. Gdy przybyliśmy wreszcie do akwaduktu i ogarnęli cały urok położenia, wówczas ten szum wody i zieleń drzew, te zapachy dziwnych kwiatów i woń aromatycznych ziół, przyprawiły mnie o rozkoszną niemoc. Z zachwyty omdlałem. Aby nie upaść, oparłem się o pień drzewa i zdołałem wyszeptać: Wybacz, księżno, ale to wszystko jest tak niezmiernie pięknie, że nie mogę... Podała mi nieco wody kolonńskiej i zauważyła z uśmiechem, że w taki sposób nikt jeszcze nie pochwalił Arkadji!“

Powązki były zdystansowane, zaćmione, przewyższone, pobite! Dumnej strażniczce polskiego Trianonu nie zostało nic innego, jak uznać

się pokonaną i odstąpić wojewodzinie palmę poetyczności. Cacana bezmyślność Powązek przybladła silnie wobec klasycznych, masywnych kształtów Arkadji. Arkadja piękniejsza, Arkadja, o zgrozo, kosztowniejsza!! Szły o tem wieści i dobiegały generałową. Uśmiechała się. Na szczęście było to już wtedy, kiedy i w jej oczach straciła urok zabawka młodości. Wcale nie dała za wygraną. W cichości gotowała się do ciosu, który miał pognać rywalkę, ciosu, na który już nie było riposty.



J. P. Norblin

Widok Arkadii

Stworzyła Puławy.

Tu jej już Radziwiłłowa nie dobiegnie, nie prześcignie. *Voilà!* Na harfie uczuć wojewodziny brakło bowiem zupełnie patriotyzmu. Miała tylko jedną ojczyznę i znała jedną miłość: Hellady. „Milsza nad inne arkadyjska ziemia, tyś mi najdroższa między krainami! — mówił głośno po włosku kamień w „świątyni dumania“ — i mówił szczerze.

Takiej metamorfozy, jak jej przyjaciółka, wojewodzina wileńska przejść nie mogła nigdy. „Matką spartanką“ zostaćby nie umiała. Tu się ich drogi rozeszły. Pozostała zawsze konsekwentną, uporczywą, rękawiczką kosmopolitką.

W całej Arkadji, jak i w samej pani, nie powstał nigdzie choćby

cię, choćby jedna „luba pamiątka“ polskości. Były tam tyfetyki ze skarbca Tippto-Sahiba, sandały ludożerców z wysp Otahiti, wykopaliska greckie i to z daru Katarzyny II, były wreszcie inskrypcje włoskie angielskie, łacińskie, francuskie. Z wszystkim, co polskie, ks. Helena była w wojnie. Także z gramatyką i ortografią. „*Szczęśliwe czasy nas ktucili niechże smutne zdarzenia nas połączy*“ — oto perełka jej stylu w liście do Albertrandego.

Więc gdy w Puławach cudzoziemskość polszczała, w Arkadii — polskość cudzoziemczała!

Lecz *princesse palatine* wiodła dalej bój z rywalką. Choć już dawno były na świecie Puławy, ona ciągle jeszcze współzawodniczyła z — Powązkami.

A potem obie z wyżyn swych dzieł ukochanych patrzyły na siebie badawczo, adorując się wzajem bardziej, niż wpięw. Każda nosi na piersiach miniaturę przyjaciółki w drogocennym medaljonie, a pukiel włosów ks. generałowej tak umieszczono nad łóżem pani arkadyjskiej, że musiało na nim spocząć pierwsze wejrzenie po zbudzeniu ze snu. Podróżując woziła wszędzie z sobą marmurową „biustę“ przyjaciółki wśród kwiatów i świeateł, aby zaś „wspomnieniem osłodzić boleść rozłączenia“ rozkazuje Norblinowi ozdobić swą sypialnię — widokami Powązek. Najśodsze listy piszą do siebie codzien. Np. wojewodzina: Zaraz do ciebie przyjadę tylko... zrobię, duszeczko! Ten rozkoszny frazes jeszcze po latach rozczuli wojewodzinę: *Ce monument precieux de la simplicité de nos moeurs!*...

Nienawidzą się bardziej, niż kiedykolwiek, ale oficjalnie wojewodzina wprost zachwycona Puławami, generałowa wprost oczarowana Arkadją! „...Przyjęła nas cudownie — donosi Czartoryska synowi — sposób, jaki przyjmuje gości jest równie uroczy, jak ona sama. Arkadja przepyszna! Właśnie ukończono salon w świątyni. Starożytny łuk już gotów. Ma zupełnie pozór antyku!“ Nawzajem Radziwiłłowa w jakimś liście: „Zwiedziłam świątynię Sybilli. Wobec tego majestatu piękności dziwię się, jak moja malutka Arkadja mogła zyskać tyle sławy!“

Po cichu natomiast wykpiwa „szczudła puławskie“ i „te patryotyczne „exltacje“. *Cette fausse société de Pulawy!* — Cytat z intymnego listu — *Il n'y a pas un mot de sincerité dans tout cela!*

Ciągłe wzajemne upominki, siurpryzy, *cadeaux*. Arkadja posyła w darze Puławom pierścień Lutra i zbroję Żółkiewskiego, bo takich rupieci nie zbiera. Czartoryska wniebowzięta: „Żebyś mi błota, albo swój stary pantofel przysłała, będę go cenić i wiecznie, wiecznie chować!“



Rewanżuje się za wszystko darem istotnie bezcennym. Za jej wstawieniem się boski Delille raczył w drugim wydaniu wstawić wzmiankę o Arkadji! Obie czytały z rozczeniem: wojewodzina zachwycona gestem rywalki, generałowa porwana swą własną wielkodusznością. I dumna: „Przynajmniej kontenta jestem, moja duszeczko kochana, że pragnienie moje aby tą Arkadję podać w nieśmiertelność, dopełniło się!“



Bergman (1810)

Kaplica gocka w Arkadji przy Nieborowie

Potem ich drogi rozeszły się gwałtownie. Gdy „matka spartanka“ trwała mocno na gruzach Puław, czując się z dniem każdym coraz gorętszą Polką — *la princesse palatine* wywędrowała szybko nad Newą i wzięła rekord w obrzydliwym łaszeniu się. Dama portretowa Katarzyny II. stała się najpokorniej uniozoną aliantką Petersburga i szła na czele korowodu służalców, którzy po 3-cim rozbiore zalegli stolicę imperjum. W epoce napoleońskiej wróciła i, aby dać dowód swej neutral-

ności oczekuje w Arkadji na wielką armię w uroczym szlafroku chińskim!... Połączyły się z Czartoryską węzłem nowego powinowactwa przez małżeństwo dzieci, lecz ognisko zawiści nie zagasło. Przeciwnie, rozpałiło się na nowo, po sukcesach ks. Adama i na widok popularności Czartoryskich w społeczeństwie. Po ogłoszeniu Królestwa kongresowego i chwilowym tryumfie ks. Adama — Radziwiłłowa pisze z goryczą z Warszawy: „Matka ojczyzny“ (Czartoryska) przyjmuje gratulacje. I ja tam byłam, byłam, aby usłyszeć, że to tylko jej syn, tylko on jest sprawcą tego szczęścia“.

Kapłanka Arkadji, i przyjaciółka filozofów, teraz dopiero dostrzegła, że jej najdroższa arkadyjska ojczyzna nie wystarczy. I westchnąwszy nad „grobowcem złudzeń“ zamknęła się w „przybytku melancholji“. Więc która? Czy miał rację stary galant i korpulentysta ks. de Ligne? Nie rozstrzygajmy, na miłość rokoka, nie rozstrzygajmy! — Niech będą obie, musiały istnieć obie. Bez nich nie byłaby sobą, epoka stanisławowska.

*Lady Macbeth*  
*w Marji Malczewskiego*

*Illa Saxonidum*  
*nitens ocellus*

*Illa Sarmatidum*  
*nitens ocellus*

*AMELIA...*

Durini.







Grobowiec Amalji z Brühlów Mniszchowej w kościele w Dukli

**W** DRAMACIE Gertrudy Komorowskiej, w melancholijnych dziejach Marji i Wacława usunęła się zupełnie z widowni jedna jeszcze uczestniczka i ofiara tragedji. Nietylko uczestniczka, więcej: jej współtwórczyni i nieomal protagonistka!

Ta właśnie gronostajowa pani o wąskich ustach i niedobrym uśmiechu, w zawoju *bagnolette*, w przepysznych perłach urjańskich i barwnej egrecie z strusich piór!...

Nie słyszało się o niej dotąd tylko dlatego, bo ojciec Dumas nie z polskich dziejów wysnuwał swe powieści. Była zaś godną Dumasa i Szekspira także.

Duma i mądrość stanowiły treść jej życia.

I wysoki pęd ambicji, z których nieomal żadna celu nie osiągnęła.

I bujny rozmach celów szalonych, niespełnionych.

U wejścia do epoki stanisławowskiej stoi sama jedna. Starsza od tamtych, po francusku uczesanych, po łazienkowsku cikliwych — *grande-dame* drezdeńskiej rasy, mądra, mściwa i zła. Mniszchowa.

I trudno nawet, aby mogła być inną. Stary, już wylatujący z siodła Brühl patrzył na to swoje dziewczątko z taką lubością, jak patrzy zgrany karciarz na ostatni, najpewniejszy atut. Brühl był chory i August III-ci niedomagał, widywali się rzadko. Więc chytry wyga, drżąc o utratę swej wszechmocności, posyła codzień córkę z portfelem politycznym do szefa antyszambry. Aby po drodze nie wlaźł mu w drogę nikt inny. Spełniała pilnie życzenie ojca. Niebawem wszakże daje się odczuć potrzeba wyjaśnień, których nie umie udzielić królowi żaden kamerdyner. Więc młoda mężateczka musi sama fatygować się do gabinetu króla Sasa. Przyszły biskup krakowski, dziś jeszcze pokojowiec

królewski, Sołtyk, nieraz jej drzwi otwierał z atencją. „Konieczność tych właśnie ustnych wyjaśnień — dodaje, opowiadając o tem, następny król polski — stawiała się coraz częstszą. Zaczem postanowiono, że codzień o pewnej godzinie młodziutka Mniszchowa odwiedzać będzie starego króla“.

Z porannych konferencji w gabinecie królewskim wracała mężateczka z główką pełną marzeń. Czyżby ten zgrymaszony suweren tak ją usposabiał? Chyba nie. Marzyła tylko o rozkoszach wszechwładzy, o pasji rządzenia kiedyś tym krajem, którego losy trzyma w ręku ukochany papa.

W tym samym czasie, we Francji, córka poborca podatków w Van-coulers ani śni jeszcze o tem, że wkrótce zostanie — hrabiną Dubarry...

Ta zaś jej polska rówieśnica ma ledwie rok dwudziesty, ale już pojęła jedną rzecz zgoła niezwykłą, dla polskich pań niepojętą: Że miłość jest tylko środkiem, wiodącym do celów nierównie słodszych i bardziej upojnych, że amor da się oswoić, a oswojony służy na dwóch łapkach — polityce. Amelja Brühlówna urodziła się już z tym sprytem starego lisa. Wychowano ją arcycystarannie, sześciojęzycznie, pod okiem samej królowej w Dreźnie. Już jako dziecko wkradła się znakomicie w łaski Marji Teresy, z czego korzysta po wielokroć ojciec, wysyłając ją do Wiednia w przeróżnych i delikatnych aferach. Cynizmu i trzeźwości nauczyła się już wtedy. Dali ją potem za żonę grzecznemu megalomanowi i purchawce. Została Mniszchową, panią siedmiu starostw, generałową wielkopolską, grafinią Dukli.

Brühl, Mniszech i August III-ci, ojciec, mąż i król tak sobie ułożyli, że będą ją mieć marjonetką, ona zaś rychło zawładnęła niedołącznym, puchnącym już ojcem, fafułą mężem i zamkniętym na pokojach Augustem. Stoczywszy zawziętą batalję z wszechwładną w sercu Sasa Steinówną-Lubomirską wzięła rząd nad pałacem króla i portfelem ojca. Już nie politycznym tylko, pieniężnym także. Rozrzucała z gracją fałszywe talary i uśmiechy. Wszystkie zwycięstwa partji dworskiej nad Czartoryskimi jej intrygą stały. Rozgorzała wówczas ambicjami, dla których korona Polska tylko była celem błahym, wcale nie najwyższym... *Elle a la fureur d'intrigue* — takie wieści odbierał o niej dwór francuski. *Instrument ordinaire des affaires les plus difficiles de son père* — pisał raz Paulmy, jej pierwszy celny strzał i łup. Ten nieszczęśliwy markiz, obity z jej powodu serwetą przez jakiegoś Litwina, ten pierwszy i jedyny wogóle ambasador w Polsce, który nietylko uległ wdziękom sarmackim, ale nawet pod ich presją odmienił zapatrywania i stał się ośmieszonym, posłusznym i skompromitowanym pion-



kiem w bezwzględnych rączkach Brühlówny. „Jeśli chciała kogo zdobyć — wyzna później człowiek, który nieraz poczuł na sobie bolesne ukąszenia jej ząbków, St. August — potrafiła w przeciągu doby poznać w lot wszystkie afery, szczególności i anegdoty z jego życia. Wydawało się, że ma talenta wszechstronne. Taniec, muzykę, sztuki wyzwolone chłonęła z zapalem i chciwością. Ale nadto długo nigdy nie wytrwała w jednym upodobaniu. „Szła w kontr mężowi swojemu — dodaje do tego Matuszewicz — i na przyjaciół następowała, przykrości im czyniąc i rujnując“.

Podobno wcale nieźle malowała. Gdyby dobrze poszukać w ikonografii drezdeńskiej, znalazłyby się może minjatury pani marszałkowej. „Za obietnicę portretu małżonka mego minjaturą i łaskawą rączką Stryjenki Dobrodziejki malowanego po milion razy rączki całuję“ — pisze w tych czasach Fryderykowa Brühlowa.

Lecz jesienią r. 1763 mało już czasu zostawało na te sprawy. W ciągu kilku tygodni stara, saska, Rzeczpospolita jakby przestała istnieć. Umarł August III-ci i umarł jego Brühl, zostawiwszy dzieciom 200 tabakerek, 700 peruk i krzyżmo pustej rozrzutności w testamencie. W powietrzu czuć było Polskę nową, stanisławowską. Wiekowy bój Potockich z Czartoryskimi wchodził w nową, rozstrzygającą fazę. Więc wszystkie pasje Aspazji i Maryny carycy rozpięły teraz Mniszchową. Aby uratować dziedzictwo... Tysiącem intryg i posunięć ożywiała szanse partii saskiej i hetmańskiej, kołatała w Dreźnie i na dworze wiedeńskim. Bezkrólewie miało być próbą sił.

*La Mniszech* — tak pisze Marja Teresa po ogłoszeniu bezkrólewia do córki — wydaje mi się teraz nieco mądrzejszą i spokojniejszą, choć ciągle jeszcze strzela lekkomyślne głupstwa. Mówiłam z nią dwa razy... odpowiadała pokornie, że z rozkoszą poprze nasze zamiary, że w Polsce bez wojska i pieniędzy nic zrobić nie można, że raczej da się zabić, niż zgodzi się ujrzeć na tronie kogoś z Czartoryskich!“

Ujrzawszy, nie zabiła się, ale oszalała na krótko z wściekłości. Rachuby saskie i hetmańskie przepadły z kretesem. A nadomiar wszystkiego ten elekt! Już przed 6-ciu lat zmienawdziła go jeszcze w domu matki i jak gdyby w przeczuciu „chłostała stolnika wyniosłą afektacją“. On zaś twierdzi w pamiętnikach że „palnął wtedy głupstwo, którego sobie nie daruje nigdy“. Albowiem „nadto wyraźnie dał jej poznać, że szkoda czasu, bo nie jest do wzięcia“. Za ten afront i rekuzę będzie pani Amelja przez dobrych lat dziesięć podgryzać nóżki ciotkowego tronu.

Teraz zaś, po elekcji, jak furja, wyniosła się z Warszawy. (Pierwsza wprowadza w modę te wyjazdy. Jak ona do Dukli, tak Branicka

do Białego Stoku, potem Czartoryska do Puław, a ks. marszałkowa do Francji. Wszystkie obrażone!

Tłumik i zmiana tonacji. Narodziny tych wszystkich wspaniałości, które z wdzięcznością wpisała do swych inwentarzy historia sztuki polskiej. Obok francuskiej w każdym calu Arkadii, obok angielsko-wersalskich Puław, Dukla, tak jak i jej pani, uosabia kulturę saskiego rokoka w Polsce.

Pałac, ogród, teatr, muzyka.

Terasy, baseny, *charmiles*, fontanny i przedziwne plantacje. Buduar z oliwkową boazerją. Sans-souci.

Klamki złożone Louis XV. Nymphenburg. Salon w chińskie kwiaty. Drezno. Sasi budują, Sasi malują plafony, grają w kapeli, reżyserują w teatrze, Sasi w gwardji pałacowej i konfesjonale!

Buduje pani Dukłę, dyszy pomstą i czeka. Paziów swych z czasów panięńskich obdarza teraz pałacami.

Za męża ma „serce i rozum“. A i ten wkrótce, gdy go ominie laska marszałkowska po Bielińskim, pójdzie przeciw królowi.

Nagi amorek stanął na cokole bramy pałacowej. Zaś w buduarze pani służy piesek posłuszny, jak dawniej, na linewce. Po nieszczęsnym Paulny'm cierpi srodze Imć Wielhorski, który „ściska jejmość najpokorniej za paluszek serdeczny i weneruje (w listach)“.

Niech ściska. Będzie potrzebny.

Angelo Durini, patrycjusz medjolański, arcybiskup ancyański i nuncjusz papieski w Warszawie, poeta i najrozkoszniejszy z labusiów rokoka wdycha i składa ody; płyną całe strumienie rymów łacińskich!

Sama będąc w swym domku zwykle Lukrecja  
Gdy bieluchnym paluszkiem przedzę z wełny zwija,  
Do cichego ustronia z dobytym Tarkwini  
Wpadnie mieczem i cnotę wydrze gospodyni...

Tak pisze najmilszy nuncjusz. Niech pisze. Będzie potrzebny.

Sama też pani ćwiczy się pilnie w polskim dukcie i słowie. „Nie uwierzysz Wać Pan — jak ja teraz ślicznie i po polsku piszę, prawda, że z bardzo pokorną miną“.

A wtem zaczęto w Barze na larum dzwonić. Z Najświętszą Panienką na sztandarach poszły konfederaty przeciw Rosji i królowi.

Zaś z nimi w pierwszym szeregu — marszałkowa z Dukli. Obok Bohusza i Puławskiego tuż. Odbiegła architekta i ogrodników. Najpierwsza patrijotka, najgorliwsza zelantka generalności, najofiarniejsza z niewiast, najmądrzejsza z dyplomatek.

I to kto? Rodzóna Brühla córka. Skądże? A z zemsty. „Najśnadniej-  
bym porównał ją do Armidy — woła gdzieś zachwycony Dumouriez —  
*mais voilà* konfederaci nie byli bohaterami Tassa!“

Przystawszy do generalności, Armida z Dukli, zastawia cały skarbiec



(Teresa C. Mengs (?))

Anna z Brühlów Mniszchowa

klejnotów i bierze się do roboty. Wazą na szali jej atuty: znajomość  
ludzi, trzeźwy spryt i wdzięk kobiecy, używany do akcji — bez zastrzeżeń.  
Wspomogła prostych rycerzy wszystką finezją brühlowsko-saskiej chy-  
trości. Tłumaczy im, czego od kogo mają chcieć. „Smażonym w cukrze  
językiem“ prowadzi dyplomację, poruszając swe wszystkie parantele  
w Dreźnie, Wiedniu, Paryżu. Sama w nieustannych rozjazdach między  
Duklą, Preszowem, Cieszynem.



Nigdy w życiu nie zebrała tylu hołdów, nie podbiła tylu serc. Lubi tych konfederatów.

„Takową moc osiągnęła nad umysłami, że w trudnych okolicznościach jej przewodnictwa szukają ziomkowie, że jej wpływu błagają nieraz Viomenil i Dumouriez. Co w naradach przyjąć, co odrzucić, ona nakazuje.“

Pogodziła Pułaskiego z Generalnością, uśmierzyła niechęć Krasieńskiego do Wessla, ma „insze damy“ na komendzie, bacząc, aby w poczciwości nie strzelały głupstw.

Nie umieją się dość nadziwić. Mówią, że „w czynach tęga a całkowita“, uwielbiają chytrą ślicznotę, która zapędza w kozi róg dyplomatów prześwieatnej generalności. A wiodąc tę swoją wojnę z panem Poniatowskim sama nigdy nie pojmie nawet, jak wiele tem dziełem zemsty przysług oddała polskiej racji stanu...

*Le petit démon* Dumouriez stracił dla niej zmysły. Przydało się i zostało doskonale wyzyskane. Zauważyła, że Miączyński i Sapięha ujęci są dziewczęcym urokiem jej córki, jedynaczki. Skorzystała, by ich uczynić powolnymi sobie.

Niech tam pani Grabowska wybiera się do Paryża z prośbą o protekcję Ludwika XV dla Stanisława Augusta — pani dukielska tymczasem już zrobiła swoje. Jej sumptem pojechał nad Sekwanę stary adorator Wielhorski i działa wedle wskazań. Już zdołał zafantować na rzecz konfederacji jakieś meble, które pocziwa mamam Geoffrin zakupiła dla króla Stasia!...

Jest chwila, w której plan Mokronowskiego, aby króla ogłosić... głową konfederacji, ma widoki powodzenia. Mniszchowa, aby go unicestwić, czyni odrazu akces do skrajnej lewicy i przystaje do tych, co krzyczą o „głowę tyрана i uzurpatora“, o tapirowaną główkę króla z Łazienek.

Jej tak dalece tylko o stolnika chodzi, że wystarczy jedna pogłoska, jakoby biskup Krasicki dał się przekupić królowi, aby marszałkową nakłonić do rzucenia hasła: A zatem otrujemy biskupa.

O tę całą konfederację ma wieczne utarczki z mężem. Obiecuje nieufnemu, że tylko patrzeć, a przyjdą posiłki cesarskie, saskie, francuskie. Na to marszałek: „Jużby z Ameryki południowej raki do tego czasu na pomoc przylazły!“ Rzekł i wrócił do króla. Bo „przeciw płynącej trudno płynąć jest wodzie“. Zaczęła i ona przeczuwać, że i tym razem batalji z p. Poniatowskim nie wygra. Jej rówieśnica we Francji i krewna duchem córka poborcy podatków w Vancoulers, o ileż dalej doprowadziła w tym czasie! Z kapeluszem w dłoni szedł Ludwik XV za śladami wolanta pani Dubarry...

A już losy gotowały trzeci i najcięższy cios niesytym ambicjom grafini dukielskiej. Zawiedziona sama w rachubach życiowych przeniosła je wszystkie na dorastającą jedynaczkę. I jeden był tylko młodzian z Rzeczypospolitej, którego z radością uznałaby zięciem: Szczęsny!

Marjaż Żozefinki z delfinem królika Rusi był najtęskniejszym marzeniem Mniszchów. Umyślili go sobie i ukartowali zdawna. Wszelako pan wojewoda kijowski patrzył bardzo wysoko. Najstarszą jego córkę wziął był ongi jeszcze w r. 1759 brat Armidy barskiej, rozkoszny szalapat, generał artylerji Brühl. Ale to było w czasach innych. Jeszcze wtedy stary Brühl trząśł Polską i Augustem III-cim! W miarę jak słabło znaczenie Mniszcha, słabły i szanse małżeństwa. Więc po elekcji stolnika widoki — rzecz jasna — bardzo umniejszyły się... Pan wojewoda kijowski cofnął się ostrożnie i czekał. Tylko z córką potężnego Mniszcha chciał ożenić syna. Marszałkowa Mniszchowa wzdychała: I ona także już oddawna chciała być żoną Mniszcha-potężnego.

A gdy dopust nagły wstrząsnął mocarstwem Potockich, gdy Szczęsny poślubił Gertrudę — pani Amelja poczuła skorpiony w sercu i turbację niesłychaną. Dotknęło ją to może więcej, jak ich. Z pomocą, radą i sprytem jedzie do Krystynopola. Szybciej jeszcze gna końmi rozstawnymi niż wówczas, gdy w ciągu godzin 30-stu zdążyła na wezwanie Dumourieza do Preszowa.

Na wielkiej radzie rodzinnej rzuca zboląłym państwem Potockim myśl mądrą, prostą i chytrą. Najłatwiejszą także i najnaturalniejszą. Aprobowali projekt ojciec i matka Szczęsnego. Był taki: Trzeba i należy aby tę synową nieproszoną z domu jej porwać „jakim niebądź sposobem“, uwieść i osadzić we Lwowie. Gdzie? Najlepiej w klasztorze mniszek, w którym Potocka przeoryszą. Niechże tam na rozmyślaniach siedzi i czeka, póki rozwód z Rzymu nie nadejdzie. Pod ten czas Szczęsny ze szwagrem swym, grafem Brühlem, pojedą na wojaż do ciepłych krajów.

Zaś rozwód przeprowadzi w Rzymie nuncjusz Durini, łąszący się zdawna pani marszałkowej, ten, który pisał: „Sama siedząc w swym domku zwykle Lukrecyja...“

Daje mu się z miejsca tłuste probostwo i pisze bardzo łaskawy a mądry list. List wydał się nuncjuszowi „prześlicznym“, odpowiedział zaraz na czterech ćwiartkach, submitygując się i składając we czworo: „*Votre Excellence* może być pewna, że się wydzieli sprawiedliwość najściślej... Nie lękaj się Pani, aby niegodna intryga zwyciężyła w Rzymie. Ja zdołam ją uprzędzić etc.

Ty Pani jesteś ozdobą Rzeczypospolitej“ etc.

Zaczęła się równocześnie akcja, bardzo dyskretna, śliska i dyplomatyczna. Przez cały czas tajemniczej afery Dukła współdziałała z Krystynopolem najkordjalniej. Mniszchowa nie oddala się ani na chwilę z pałacu o 300 pokojach. Ma do pomocy cały sztab sekretnych współpracowników pod wodzą l'abbé'go Delisle i czarnego człowieczka z Włoch, którego zowią Manzuani'm. Cały spryt Brühlówny w tem, aby robota była niewidzialna, ślady zatarte, a jej osoba w cieniu.

To też znikły, a na horyzoncie snują się jedynie ciemne figury posiepaków, Wilczka, Dąbrowskiego, Szpilki.

Przez styczeń i luty pani marszałkowa nie opuszcza Krystynopola.

Trzynastego lutego 1771 porwano Gertrudę, uduszono i utopiono. Z czyją wiedzą i aprobatą niewiedzieć. Słych o losach Gertrudy na razie zaginął. Rozbiegli się po całej Rusi ludzie, zaprzeczający plotkom i gadkom. Durini, choć wiedział o wszystkim, czynił dalsze, już głośne i demonstracyjne starania o rozwód.

Czy wszystko, co się stało, było z wiedzą inspiratorki? Pełne tajemniczych aluzji są listy, które w tym czasie odbiera, w archiwum listowem Mniszchów wytrzebiono wiele kart z tych właśnie miesięcy. Zaś uparta tradycja dukielska wkłada jej w tej chwili w usta słowa lady Makbet:

...Przybądźcie duchy, karmiciele  
Zabójczych myśli, z płci mię wyzujcie  
I napełnijcie od stóp do głowy  
Okrucieństwem!

Rok blisko ukrywano zbrodnię. Królik wołyński zdrzął chyba pierwszy raz w życiu, drżeli wszyscy, Brühl-Telemak i nawet Szczęsny, Bogu ducha winien w obawie, żeby im „jawnie kryminału nie zadano“. Wojewodzina, przed którą rzecz tajono, umarła pono z żalu, dowiedziawszy się prawdziwej prawdy.

Zabójców wysłano szybko, ślady zatarto, lecz gadki biegały mimo to po kraju uporczywie. Prawda ukryła się jednak, zgubiona wśród niepokojów wojny konfederackiej i rosyjskich łupieży. Dopiero groźba okupacji austriackiej wzmogła trwogę w Dukli i Krystynopolu. Widmo trybunału wiedeńskiego! Groźba skandalu! Mniszchowa chce wyprzedać się ze starostw, wyjechać za granicę. Czuje w sercu nowe skorpiony. I nagle wpośród tych myśli, w nieskończonym pałacu, parku i teatrze umiera, nie zostawszy teściową Wacława i Marji. Trzydziestego kwietnia 1772. Na dwa miesiące przed zajęciem Dukli przez szwadrony kawalerji austriackiej. Nagły zgon tej 36-letniej, zdrowej i pełnej życia kobiety okryła natychmiast tajemnica. Nic doszukać się o nim ani jednej





*Szczęsny Potocki z żoną i dziećmi*

wieści w listach i pisanych gazetkach. Zrozpaczony mąż każe bić złoty medal na jej cześć i stawia mauzoleum wspaniałe. Dobrze wytresowany monsignor Durini składa łacińskim rytmem dziesięć ód na cześć dobrodziejki, porównując ją do wszystkich bogiń Parnasu. „Była świetlistą gwiazdą Saksonji, była świetlistą gwiazdeczką Polski“...

A w ziemi dukielskiej krążyć jeła odtąd uparta tradycja, że mściwa pani nie zmarła śmiercią naturalną, lecz zginęła samobójstwem. Z wyrzutów sumienia, z obawy skandalu.

Przegrała wszystkie stawki życia. Przegrała Wolę i Bar, przegrała marjaż córki, spokój duszy i zażyła truciznę. Wcale prawdopodobne. Marji z Chłędowskich Pomezkańskiej opowiadał o tem proboszcz dukielski i starzy słudzy pałacowi w r. 1850. Na tle tem osnuła staroświecki romans o Gertrudzie i jej duchowej zabójczyni. Umierając Mniszchowa mówi w tej powieści do córki:

„O córko moja! Dla ciebie to rzucam się w otchłań piekła, dla ciebie podwójny występek morderstwa i samobójstwa ciąży na mej duszy“.

W dwa lata później zeszedł siew ambitnej intrygi. Na tym samym zamku dukielskim zaślubił Żozefinkę ten sam Szczęsny Potocki. Dumna i wspaniała rezydencja marszałkowej Amelji wezbrała życiem. Na pałacowym theatrum grały się cotydzien — o skora losów odmianno! — najprzedniejsze komedje. I młoda pani występowała wśród aktorów także. Grała w komedji Bohomolca „Rada skuteczna czyli małżeństwo przymuszone“, grała w „Igrzysku miłości“, gdzie przedstawiono „scenę w Dukli“, w domu hrabiego.

Podtenczas w kościele dukielskim stanął gotów grobowiec.

W sukni z indyjskiej tafty, w płaszczu *à la Watteau* leży w cudownej pozie uśpiona marszałkowa z książką w rękę. Tylko co oczy przymróżyla, za chwilę otworzy je znowu i zacznie czytać. W tym

marmurowym konterfekcie — kto wie, czy nie najwspaniał-

szym, jaki nam został po kobiecie rokoka — zaklęta

w łomy jasno-żółtego kamienia żyje do dziś

grande'dame drezdeńskiej rasy, mściwa,

mocna i zła, Szekspira godna

i Dumasa godna —

Mniszchowa.

*Siostra księcia Pepi*

*Tyszkiewiczza  
Król policza  
Między bliskie swoje,  
Dał jednemu  
Dał drugiemu  
Swych synowic dwoje.*





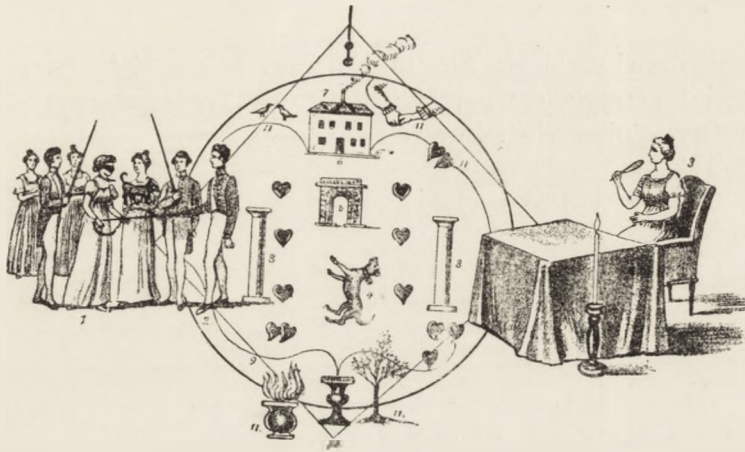


*Sylwetka w ramce Grasmeyra*

Teresa z Poniatowskich Tyszkiewiczowa  
(1763–1834)







Przyjęcie siostry do łoży „Mopsa“

**P**OŹNYM wieczorem niechaj wyjedzie z domu kareta, sama, w sekrecie. Tak brzmiał rozkaz tajemny. Odziać się winna w białą robę, bez ozdób jakichkolwiek, wyjąwszy jedną: złoty kolczyk w lewym uszku. I niech z bijącym sercem zdąży na dziedziniec domu pocztowego w Warszawie (dlatego pocztowego, aby nie zwracać uwagi profanów). Tam spotka nieznaną kobietę, która przyłoży do ust dłoń, zwiniętą nakształt mordeczki małego psa.

Włożyła białą robę i złoty kolczyk w lewe uszko, jechała z bijącym sercem, spotkała nieznaną kobietę. Nieznana kobieta wiodła ją chwilę za sobą w ciemnościach i oddała pod opiekę nieznanego mężczyzny, który trzymał w ręku płonąca pochodnię. Wiódł ją długo zaułkami, a gdy przyszli na miejsce objasnił: izba do której wejdiesz zwie się „izbą Przygotowania“. W komnacie obitej ponsową materją nie było nikogo. Trzy świece woskowe płonęły na stole.

Dama w białej robie patrzyła i czekała, co dalej będzie. Wówczas zastukano trzykrotnie; z ukrytych w ścianie prawej drzwi wyszedł groźnym krokiem czarno odziany człek i rzekł ponuro, że jest Bratem Sztuardem. Po, tem zapytał damę krótko i oziębło:

— Czy przekładasz woń cnoty nad wszelkie inne pachnidła?

Dama w białej robie odparła z zachwytem:

— O, tak! Przekładam.

Gdy jeszcze oświadczyła, że gotowa jest na wszelkie próby, które jej zadadzą, brat Sztuard uderzył młotkiem w stół. Z ukrytych w le-

wej ścianie drzwi wybiegła Siostra Gorliwa. Miała biały fartuszek, białe rękawiczki i patrzyła czarno. Siostra Gorliwa zadawała pytania szybko:

— Czy czujesz się zdrową?

— Tak

— Czy nie jesteś w ciąży?

— Nie.

— Czy nie cierpisz jakowej choroby kobiecej?

— Nie

— Podejdź do izby, którą zowiemy „Izbą Rozmyślań“.

Był to pokój mały, zupełnie ciemny. Skrzesano światło. Dama w białej robie ujrzała, że pokój obity jest materją czarną, a świeca tkwi w lichtarzu z trupiej czaszki. Zrobiło się jej zimno i nieprzyjemnie. Obok na stole leżała szpada z blachy, zwierciadełko i — mops, piesek z kitajki, wypchany watą, z ogonkiem podniesionym do góry.

Teraz z drzwi ukrytych w ścianie wybiegli dwaj przyjemni panowie, którzy nazywali się Bracmi Strasznyimi. Mieli czarne fraki, białe fartuchy i groźne miecze z blachy, których dobywszy, stanęli na straży u wejścia.

Wszedł Brat Dozorca krokiem srogim i nakazał damie w białej robie spełnić natychmiast trzy rozkazy co do joty. Najpierw zdjąć podwiązkę z lewej nóżki, potem mankiet z prawej ręki i ten złoty kolczyk z lewego uszka. Wszystko uczyniła rychło i posłusznie.

Wziąwszy podwiązkę, mankiet i kolczyk nakazał Brat Dozorca damie, aby odtąd gardziła błyskotkami świata. I zlecił, niech jej Siostra Gorliwa da przepaskę na oczy.

Odtąd dama w białej robie nie widziała nic z rzeczy, które się tam działy. A działy się rzeczy straszne i bardzo przerażające.

Najpierw orkiestra, niewiadomo kędy ukryta, jęła cichutko grać menueta w sposobie bardzo przyjemnym. Potem wstrząsnęły komnatą trzaski, huki i łaskoty w sposobie bardzo niemiłym. Znow na przemiany muzyka i grzmoty.

Ktoś spętał damie ręce żelaznymi kajdankami.

Na szyję włożono jej obrózkę mosiężną z kółkiem.

Uczuła, że jakieś drzwi otwarły się szeroko i prowadzono ją do wielkiej sali, wypełnionej tłumem braci i sióstr.

W tej sali cicho było. Nikomu nie wolno było ruszyć się z miejsca, ani słowa rzec pod karą dukata.

Dama w białej robie miała teraz z zawiązanymi oczyma przejść Bramę Miłości. Pod stopkami uczuła miękką tkaninę. Był to Koberzec

Szczęścia, na którym rozłożono Sznur Cnoty. Po linii sznura miała przejść spokojnie razy dziewięć, nie zrażając się żadnymi przeszkodami.



M. Racciarelli

„Apołtroza Oktawiana Augusta“

(Ks. polkomorzy, ks. prymas, król, ks. Józef, pani Krakowska,  
pani Tyszkiewiczowa)

Zaledwie zaczęła, gdy komnata zawrzała nowym gwałtowniejszym niż pierwiej łoskotem, wrzaskiem i krzykami.

Tłum braci i sióstr przybiegł z wszystkich stron łoży; krzyczeli *memento mori* i bili w narzędzia różnego gatunku.



Szczękały blaszane łańcuchy, zgrzytały zęby, płakały Wieczne dziewice, krzyczeli bracia Dozorcy. Potem zamiauczał cicho mały kotek i zaczął wyć straszliwie bardzo wielki pies. Dama w białej robie nie ulękła się wcale. Kroczyła po linji Sznura cnoty pewnie, z wdzięcznym uśmiechem na ustach i zawiązanych oczach.

Zwrócono jej uwagę, że tak nie można. Rytuał wymaga, aby trzęsła się i „drżała w wargach i kolanach“, a nawet omdlewała.

Więc trzęsła się i omdlewała.

Teraz ucichł wrzask, a przyszły próby cięższe i trudniejsze.

Brat Straszny przystąpił do adeptki, żądając ni mniej ni więcej, a tylko, aby „wydobyła języczek z ust, ile można najdłużej!“ *Diablement mauvaise affaire!* Ile mogła, wydobyła. Wówczas brat Straszny ujął to różowe małeństwo swoim urękawiczniwym paluchem i ścisnął mocno, wedle zaleceń rytuału „obracając różnie na lewo i prawo“. Mało tego! Jeszcze „taką jej zrobił imaginację, jakoby język miał zostać palony gorącym żelazem“. Dama w białej robie cofnęła się przerażona i upieczona.

Z kolei bracia przybliżali do jej oczu ostrza szpad swoich, tak jakoby je wykłuć chcieli, a damy, mrucząc groźnie, łaskotały ją po przepasce kolcami grzebieni.

W tem miejscu rytuał wymagał, aby łaskotana skowyczała, jak mały piesek.

Skoro tylko zaskowyczała, zdjęto łańcuch, który miała u rąk i przytroczono do obróżki, a kilka par siostr i braci jęło adeptkę ciągnąć ku wzniesieniu, na którem siedział za stołem brat Mops Wielki, katedralny z siostrą Mopsicą Wielką.

Tu zastosowano czwarte i najważniejsze *punctum* rytuału, które tak brzmiało:

„Każą adeptce wybrać jedno z tego dwojga: czy pocałować Wielkiego Mistrza w sposób niewymowny, czy pocałować pod ogon pieska mopsa. Takich użyją przytem postrach, iż wreszcie adeptka ucałuje rzecz drugą“.

I bez użycia „postrach“, dama w białej robie ucałowała „rzecz drugą“.

A wtedy z za stołu dał się słyszeć głos pytający:

— Kim jesteś?

— Jestem suczką, która pragnie zostać mopsicą i uczestniczyć w tajemnicach kompanji.

Głos inny:

— Zapytajcie o jej imię!

Uderzając lewymi rękoma o lewe uda, pytali bracia o jej imię.

Dama w białej robie sprezentowała się:

— *Comtesse Vincente Tyszkiewicz née princesse Poniatowska.*

Teraz zdejto jej z oczu przepaskę. Ku referendarzowej litewskiej biegły ze wszech stron łoży damy warszawskie z czułością i powinszowaniami. Uroczystość była skończona.

Jedyna siostra księcia Pepi została tego wieczoru siostrą 1-szej warszawskiej „kompanji de mops“ i z upojeniem wchodziła w drażniący tajemnicą świat kielni i białego fartuszka.

Miała lat dwadzieścia parę. Była od Ks. Józefa, starszą o trzy lata, a nie młodszą o dziesięć, jak uparcie twierdziła. Do chrztu trzymała ją Najjaśniejsza Marja Teresa i użyczyła swych imion, natura zaś obdarowała ją „imaginacją bardzo gorącą“ — jak się wyrazi później pewien dyplomata. Tę *l' imagination ardente* można było zauważyć u dziewczęcia już wcześniej, najpierw za jej wiedeńskich, wspólnie z ks. Józefem przepędzonych lat. „Ofiarą jej padło oko księżniczki, nie wiedzieć w jakim przypadku stracone“. Zastąpiła je szkłem i odtąd nie mogła być piękną, a długie pukle blond włosów opuszczała nieco na lewy policzek. „Wychowanie — zaznacza dalej ten sam dyplomata — przyzwyczało ją do frywolnej rozrzutności i obudziło w niej rozluźnioną żądzę użycia“.



*Teresa de Poniatowsky Tyszkiewiczowa.*

Z tego powodu musiano raz w Białym Stoku izebrać kosztowny piec, do którego nieopatrznie wcisnęła się, przyłapaną przez guwernantkę na jakimś nieodpowiednim uczynku z p. starostą mielnickim, o czym zresztą pani Gutakowska, jedyny świadek zajścia, niczego więcej powiedzieć nie chciała.

Uważając, że jest jedyną autentyczną księżniczką Poniatowską, — bo ojciec wpieryw został księciem Rzeszy, zanim inni bracia, po wstąpieniu Stasia na tron, uzyskali na sejmie tytuł książęcy — marzyła o marjażu, który niechybnie ułoży dla niej Najjaśniejsza matka chrzestna.

W tym celu strzegła się pilnie tych wszystkich bałamuctw sarmackich, jakie już w czasach szarmanterji wiedeńskiej interesowały jej

brata. Pisała się *princesse Poniatowsky*, była córką hr. Kinskiej i feldzeugmeistra, księcia Rzeszy. Niczem więcej. A wtedy król Stanisław August zamianował ją — panią Tyszkiewiczową. Czuł pono taki do tego rodu sentyment, że gdyby i dziesięć miał synowic, pewnie bez wyjątku wszystkie dostałyby się Tyszkiewiczom. Synowic było na szczęście tylko dwie: Konstancję, córkę podkomorzego wziął Tyszkiewicz hetman, Teresę, siostrę ks. Pepi, Tyszkiewicz referendarz. *Ce vieux singe!* mawiała p. Teresa o swym małżonku, który ją poślubił i zawiózł do Świsłoczy w r. 1778. Wielki referendarz litewski łączył w swej osobie wiele cech pod każdym względem niecodziennych. Był otyły, nieśmiały i pedantyczny. Otyłość doprowadził tak daleko, że mimo wysiłki, nie zdołał nigdy wdziać fraka, a rozlane swe ciało okrywał obszerną salopą, zapinaną od stóp do głów guziczkami księżej sutanny. Pedanterja doszła w nim do tyła, że gdy z Paryża napisał: przyjadę tego a tego dnia na wieczór do Świsłoczy, nie skrewił na godzinę. Wyjeżdżając do jakichś innych ciepłych krajów, obiecał Sapieżynie z Derczyna, że będzie u niej na św. Pelagję na obiedzie. Założyła się, że nie zdąży i przegrała, bo przyjechał.

Pozatem był pan referendarz człowiekiem światłym, szlachetnym, grzecznym i dobroczynnym. Z tych wszystkich powodów, a także przeto, że do stołu siadał po staremu o drugiej, nie lubiła pani Tyszkiewiczowa pana Tyszkiewicza, który naprawdę stał się teraz wielkim referendarzem, tj. „człowiekiem słuchającym skarg prywatnych i podającym je do ucha królewskiego“. Sapiąc na wielkiem krześle z poręczami słuchał pan Tyszkiewicz gorzkich skarg swej uciśnionej małżonki, ale nie myślał wcale, by je podawać królowi.

Pochrześnica Marji Teresy siedziała na pokucie w Świsłoczy. Założyła sobie na wiosnę ogród fruktowy, potem lasek brzoźowy, wreszcie labirynt grabowy, zbudowała zimą teatrzyk francuski, nad którym kiwały z podziwem głową stare żubry litewskie, nareszcie jęła na folwarku Klepacze wznosić miniaturowy pałac Louis XV. Pałacyk miał się składać z trzech salonów, jeden osmiokątny wyłożony kafelkami, drugi żółty, trzeci zielony. Szczególnie do tych kafelków, między którymi miała być wanna ukryta w kanapie, zapaliła się bardzo i układała je pilnie. Gdy nagle rzuca się wszystko i ucieka. Uciekała z uczuciem zwolnionej z tortur czarownicy.

Sapiąc w szerokiem krześle z poręczami dokończył pan referendarz z właściwą sobie pedanterją zaczętej roboty, i nie przestał nigdy kochać swej krótkotrwałej małżonki.



„Rozumiem, że ma być szczęśliwa z referendarzem“ — rzekł Stanisław August i zakazał jej wstępu na pokoje.

— Rozumiem, że humory Jego Królewskiej Mości Stryja Dobrodzieja nie potrważą długo — pomyślała sobie eks-referendarzowa, ufna że do czasu da sobie i bez tego radę.

Od tego czasu podwoje zamku królewskiego zamknięte były dla nieposłusznej siostrzenicy. Pocieszała się urzędem w. mistrzyni w Warszawskiej łoży adopcyjnej tak długo, jak długo nowość ta nęciła urokiem mody i tajemniczości. W czasie Sejmu Wielkiego, w epoce emigracji dostojnych dam, wyniosła się i ona zagranicę. Wszędzie jej było pełno, w Brukseli, Paryżu i Spa. „Hojna do rozrzutności, gotowa do prędkich uniesień, posiadała odwagę ponad płęć swą“ — zapewnia stary Niemcewicz. „Ale wybryki ośmieszały ją w oczach społeczności, zaś liczne błędy odstręczały przyjaciół“ — dodaje pan de Senfft.

O detronizację króla Stasia nie modliła się nigdy tak, jak tamte inne. *Malgré tout* stała w rzędzie jego adherentek. Z powodów łatwo zrozumiałych. Albowiem wówczas stryj przedstawiałby jeszcze mniejszą wartość finansową i nie byłby w stanie płacić coraz rosnących długów eks-referendarzowej. Narazie chował starannie w osobnym fascykułe jej natrętne epistoły i — płacił jeszcze. Były to smac pozycje niebłahe, skoro już z Grodna, na zarzut ks. Józefa, że się tak kurczowo, niegodnie trzyma korony, król odpowiada: „Muszę pokryć długi twoje i moje, muszę zapewnić przyszłość tobie i twojej siostrze“.

Ona zaś osobiście pilnowała w Grodnie, aby rząd rosyjski przejął także jej zobowiązania, przytem kokietowała starego Repnina i robiła nieustanne awantury p. Grabowskiej o to, że jej, jedynej autentycznej księżniczce Poniatowskiej nie ustępuje miejsca.

Jedyna siostra księcia Pepi... A cóż ten brat na to?

Raz tylko w życiu wyraził otwarcie, co myśli. Wiosną roku 1812, tuż przed wyruszeniem w pole dopadłszy chwili wolnej w rozgwarze pracy mobilizacyjnej, pisał ks. Józef: „Czas nie pozwala mi na spisanie testamentu podług aktualnych przepisów. Mam go tyle tylko, aby krótko wyrazić na piśmie moją wolę ostatnią. Tuszę, iż będzie tak wykonana, jak gdyby utwierdzały ją wszelkie formalności prawem żądane. *Art. 1.* Siostrę moją Teresę z Poniatowskich Tyszkiewiczową ustanawiam moją uniwersalną spadkobierczynią. Zobowiązuję ją, aby z reszty spadku, jaka po mnie dla niej pozostanie, spłaciła niezwłocznie długi swoje, zalecam jej, żeby rozsądną była i nowych długów nie czyniła, a to końcem zapewnienia sobie na starość szczęśliwej spokojności“.

Zalecam jej, iżby była rozsądną... tak pisze Pepi, najlekkomyślniejszy Pepi, występując, chyba pierwszy i ostatni raz w życiu, w roli moralizatora. Zaleca, iżby była rozsądną a to „końcem“ rzeczy, o jakiej sam myśleć nie umiał i nie chciał, „końcem szczęśliwej na starość spokojności“.

Więc i jego gorszyła nawet! Może też nie uświadomił sobie nigdy, ile mimowolnych szkód i krzywd doznał od tej jedynej, bardzo kochanej siostrzycy. Tylko dlatego musiał w r. 1812 zadłużyć się u Napoleona, a swoje własne pieniądze pożyczał dla niej na gruby procent od Vaubanki. Płaćtała go w nieustanne kłopoty, wodziła po adwokatach i sądach, zresztą najlepsza, jedyna i niezastąpiona! Czytaó wówczas gdy chodziło o „dyskrecyjne“ usunięcie konsekwencyj w aferach miłosnych, czy o sekretne *accouchement* zawołowanej principessy, lub konsolację zrozpaczonej damy, którą już rzucił, czy nareszcie o ciepłą i rodzicielską opiekę nad bastardami. Ci rozmaici Poniteccy i Chmielnicy mieli w niej zawsze najczulszą matczkę, i jeszcze w dwa dziesiątki lat po Elsterze madame Tyszkiewicz (*prononcz: Tischkewitsch!*) będzie biegać po urzędach paryskich, by wyprosić dla nich nazwisko i legitymację.

Była najoddańszą siostrą i powiernicą ks. Pepi, lekkomyślnego filuta z pod Blachy, nie miała natomiast żadnych uczuć i ani krzty zrozumienia dla wodza narodu, któremu Bóg powierzył honor Polaków!...

Pochrześnica Marji Teresy czyniła wszystko, aby go sprowadzić z drogi „fałszywej exaltacji“ i utrzymać w dawnym, wiedeńskim fasonie. Dość przypomnieć: Gdyby nie ona, nie poznałby nigdy Vaubanki! Stało się to w roku insurekcji kościuszkowskiej, w domu pani Teresy w Bruskeli. Patronowała wszystkiemu, co było pod Blachą smutne i złe. Chociażby owa głupia i zacięta wojna z teatrem narodowym! Obie z Vaubanką wysyłają swą młodzież na spektakle, aby hałasem przeszkadzała w grze. Warszawa nie zostaje dłużną. Tłum patriotycznej młodzieży gwizdże i wrzeszczy nazajutrz na teatrze francuskim. Jako dziewica orleańska na szanclach angielskich, jak Zofia Chrzanowska na murach Trembowli stawia czoło napastnikom polskim księżna de Poniatowsky, comtesse Tyszkiewicz (*prononcz: Tischkewitsch*). Wychylona z łoży dowodzi kontratakiem. Jednookiej antagonistce sceny polskiej dostało się nazajutrz słuszenie w wierszu C. Godebskiego. („Krzyknęła zagrzewając stronników swych męstwo! Jam fortuna, *bom ślepa*, więc przy mnie zwycięstwo!“)

Leciały już ku Warszawie orły napoleońskie. „Przywiązana do Bourbonów, zawzięła się aż do nieroztropności przeciw nowemu rządowi. Odkazywała, że ucieknie precz, gdy tylko noga francuska postanie w War-

szawie“. Wszelako nazajutrz pojechała pierwsza składać z śmieszną unizonością wizyty metresom generałów napoleońskich, a w trzy dni później nie widziała świata poza Talleyrandem.

W starym, już prawie 50 letnim, piecu zapalił nagle kulawy djabeł! Przywiedła lwica, biadająca ciągle nad utraconą młodością, — o której kronika buduarowa miała dotąd znikomo mało, kompromitując mało do powiedzenia — zakochała się. Zapewnia, że pierwszy raz w życiu... Sataniczny biskup-apostata, *qui mettait ses pieds dans tous les souliers*, który magnetyzował swym wpływem Napoleona, uroczym, co prawda, nie był. Tysiąc anegdot jeło krążyć w Warszawie na temat jednonogiego księcia i jednookiej hrabiny, która zanudzała go bałwochwalczą adoracją. Dzięki niemu zyskała nawet duże wpływy na politykę księstwa warszawskiego. Do tego stopnia, że gdy w styczniu r. 1807 ks. Józef został ministrem wojny, pani Teresa chlubiła się głośno, że to z jej protekcji!...

Już w Warszawie zaczął się ten bakarat, którego miała z Talleyrandem grać odtąd przez lat dwadzieścia parę. W Neapolu i Brukseli, w Erfurcie i Preszburgu, w Cambrai i w Paryżu. Bo wszędzie wlokła się dama za księciem i z księciem. Z miłością i z talją kart. „Codziennie dawała mu woreczek z 500 frankami, które tenże przyjmował i do gry wieczornej używał“ (L. Dembowski).

Osiadła wreszcie w Paryżu. „Nadwyrężywszy nierządem i marnotrawstwem znakomite mienie, utrzymywała jednak dom na wysokiej stopie“. „Na obiadach u niej — pisze A. E. Koźmian — kilkakrotnie się z Talleyrandem spotykałem i zawsze go widziałem zajadającego i pijącego wybornie, lecz milczał jak głaz. Widać było tylko nudę, cierpliwie znoszoną. Pani domu nie szczędziła starań, by go zabawić, by mu dogodzić, on na te usiłowania odpowiadał zimną obojętnością i milczeniem. Z początku bawił, wkońcu niecierpliwił widok tego nieczułego bożyszczka, głuchego i ślepego wobec najfanatyczniejszej z swoich wielbicielki“.

Do Tyszkiewiczowej zbiegało na hazard pół Paryża. Śmiertelna cisza i nuda zalegała salony, piekielna żądza zysku dominowała nad wszystkim. „Skurczone, podejrzliwe twarze graczy, ponura, nieruchoma poza bankierów, wszystko to wydało mi się ohydą! — zapisuje w swych pamiętnikach siostrzenica Tyszkiewiczowej, p. Potocka.

Starego djabła otoczył tymczasem cały orszak wędrujących adoratorów: starawa już ks. kurlandzka, rosła jak żandarm, księżna de Luynes, spruchniała duchesse de Fitz-Jams, kaśliwa pani de Bauffremont. Oblędna



zazdrość miotła bezustannie siostrzenicą polskiego króla. A gdy chmurny ks. Benewentu uśmiechnął się choćby do murzynki Zoe, podającej herbatę, nieszczęsna adoratorka z dziką pasją rzucała się do kart i przegrywała resztki dziedzictwa ks. Józefa.

Przy boku eks-biskupa dożyła podwójnej siekierki. Łazienki sprzedała Aleksandrowi I., klejnoty i kosztowności po bracie zdołała ulokować w lombardach francuskich, u Napoleona wyprosiła sobie podwyżkę pensji za zasługi brata, marszałka Francji. Nie tylko nie dopełniła warunków testamentu, ale nawet dla pozostałych po nim pamiątek nie okazała szczypty pietyzmu. Poszły pod młotek handlarzy lub rozbiegły się po świecie. Znosił Talleyrand damę cierpliwie, aż i przyzwyczał się do pokornej niewolnicy. „Jak gdybym stracił część samego siebie“ napisał do Bacourta po jej śmierci († 1834). I spełnił ostatnie jej życzenie: ciało pani Teresy złożono w kaplicy Talleyrandów w Valençay. *Requiescat in pace!*

Nawet najbardziej lekkomyślne damy rokoka chowają przecież w zanadrzu jakiś jeden dobry uśmiech, jakąś, jedną choćby przyjemną zaletę, która ujmie nas w końcu i każe przebaczyć im winę.

Księżna de Poniatowsky, hrabina de Tyszkiewiczowa (*prononczé: Tischkewitsch*) jest pod tym względem wyjątkiem.

Nie umie się uśmiechnąć  
i nie można jej  
przebaczyć!...

## *Różyczka z Czarnobyła*

*Ani płaczące nimfy przy twym grobie stoją,  
Których gładkość marmuru gasilaby twoją  
Ani płacz przyjaciela i domowej rzeszy  
Białego ducha twego nie pocieszy!...*

Dyzma Bończa Tomaszewski.







*Akwarela Bernard'a (1786)*

*Muzeum Czapskich w Krakowie*

Rozalja z Chodkiewiczów Lubomirska  
(1768–1794)





Boilly (1796)

Scena z<sup>a</sup> Rewolucji francuskiej

**L**ECZ przytem uprzedzam mamę kochaną, że więcej do Polski powrócić mi się nie chce... A też żadna konsyderacja mnie nie potrafi zniewolić do powrotu do kraju“...

I jeszcze potem:

„Proszę, aby droga mama raczyła o tem donieść mężowi memu, do którego nie piszę z obawy ściągnięcia odpowiedzi, któraby tyle mnie co i jego zasmuciła. Zresztą czuję się chorą i śmiem spodziewać, że już niedługo pociągnę to nudne życie moje... *Adieu* mammo! Nie zapominaj Twojej nieszczęśliwej córki!“

Tą nieszczęśliwą córką i żoną, która niema zamiaru wracać do męża i kraju, jest jedna z najpiękniejszych pań Sejmu czteroletniego, Róża z Chodkiewiczów Aleksandrowa Lubomirska, hrabianka św. państwa rzymskiego na Czarnobyłu, Myszy, Młynowie i Szkle. Czemu jest nieszczęśliwą i dlaczego uciekła? Z powodów bardzo zwyczajnych, niemal epidemicznych w Polsce Stanisławowskiej, a z góry rozgrzeszonych przez każdego ufryzowanego prałata. Miałab-*o* siedzieć dalej w Opolu, wśród strupieszających bajczarek lubelszczyzny, dźwigających odwieczne



mantolety na wysoko urodzonych czołach — ona, której nawet „Warszawa przednio nudną się wydaje“ i nie porywa jej nic z tego, co jest w tej chwili modne na Nowym świecie: ani czuły patryjotyzm, ani komeraże polityczne, ani angielskie kroje p. Lazarewiczowej.

A ten mąż, o którym kwaśno wspomniano w pożegnalnym liście, ten sztywny, oszczędny i mało ciekawy pan na Opolu stracił właśnie jedyny tytuł, którym imponował młodej żonie. Bankructwo Teppera nadszarpięło mocno jego fortunę. Od roku już prawie hrabianka św. państwa rzymskiego o każde 500 „dusiów“ musiała nagabywać swą świekrę z małym skutkiem, lub też upraszać panią matkę z jeszcze mniejszym. Gdy to wszystko przestało być zajmujące, wyjechała.

W ambarasach i grymasach młynowskiego pałacu, w starem gnieździe Chodkiewiczów, śmiała się jej młodość rozpieszczona. Opiewał to Seweryn Rzewuski w rymach tak lekko powiewnych, jak jego hetmańska buława:

W liczbie przyjaciół, w amantów gminie  
W grzecznej, wesołej bywałaś minie  
A kiedyś chciała być znamienitą  
Byłaś kolącą  
Byłaś pachnącą  
Byłaś przyjemnie różą rozwitą!...

Złote blond włosy, oczy niebieskie i przyjemna, filigranowa proporcja, którą szpeci tylko nosek *à la Roxolane* (najniepotrzebniej uwydatniony w akwareli Bernarda). Sama nawet Imperatorowa w czasie zjazdu kaniowskiego w r. 1787 raczyła najmiłościwiej na nią zwrócić uwagę i zapytać, czy Opole daleko od Kaniowa, ponadto dała jej jeszcze rękę do ucałowania i zasiadła na chwilę do partji wista. Kolące figliki dziewczeczki z Młynowa podziwiano np. na owem rokokowem weselu kasztelanki radomskiej, gdzie to pan wystąpił z wiankiem mirtowym na upudrowanej główce. Piękna Róża słynęła z dowcipu. Jeden jej concept przeszedł w legendę i uśmiecha się wciąż wśród plutarchowskich kart życiorysu ks. Józefa. Wiadomo, co się zdarzyło w dniu jego patrona w r. 1788. Pani Róża wraz z Kossowską i Julją Potocką przekupiły kamerdynera pod Blachą, zakradły się o zgrozo, w kostjumach bogiń do sypialni ks. Pepi, zmieniwszy ją w okamgnieniu w Olimp czy też górę Ida. Potem czekały za kotarą, z upominkami w rękę i drzeniem w sercu. A potem, późną nocą, powrócił najdroższy Pepi różowy, gwizdający, senny i co ważniejsza, nie sam a w towarzystwie... „ordynaryjnej“ aktorki Sitańskiej! *Enfer et damnation!*

Być może, że właśnie nazajutrz rano zasiadła ks. Róża do wystania

pewnego listu do swej mamusi, listu o którym prawnuk jej nie unie powiedzieć, z jakiej racji został napisany. Odznaczał się on wielką tkliwością: „Jaśnie Wielmożna Matko Dobrodziejko! Nauki, jakie mi w listach dawać raczysz, pozostaną głęboko w sercu mem wyryte. Do nich uciekam się w każdym frasunku i radabym kiedyś stać się lepszą!“

Z tem wszystkiem Warszawa była i nadal nudną, a po bankructwie Teppera, które bynajmniej nie podwyższyło pozycji towarzyskiej księcia,

stała się już wprost nieznośną. „Damy są trudne i w wysokim tonie“, a co gorsza „wracają się do starożytnych ubiorów, jakoto materje w wielkie bukiety i pasy. Ludzi jest mało, a nieobecność króla dodaje miastu pośepności“.

W tym czasie książę-mążżonek wybierał się w jakowychś aferach pekunjarnych nad Sekwanę. Pojechała z nim razem gwoli „najrychlejszego ratunku dla zdrowia“. Pani Matka i *Son Altesse* hetmanowa-swiekra westchnąwszy ciężko, sypnęły co nieco dukatami.

Działo się w lipcu roku 1788-mego. Księżna Róża kończyła rok 20-ty. Paryż zaś był już wówczas czemś w rodzaju większej i przyjemniejszej War-



Rozalja Rzewuska, córka Aleks. Lubomirskiej.

szawy. W Palais Royal rezydowała zagniewana na Polskę marszałkowa Lubomirska, czując się prawie jak u siebie w Łańcucie, syn marszałkówny Bielińskiej, gen. Besenval ciceronował świetnie rodakom mamusi, ułatwiając im posłuchania u Dworu; nieoceniony gładysz, dawny grand-maitre Stanisława Augusta, Franciszek Rzewuski trzymał swą pieśczoneą rączkę na pulsie ostatniej mody, nareszcie Teofilowa Lubomirska wraz z Sewerynową Rzewuską były pobłażliwie respektowane przez high-life francuski głównie dzięki swej dziecinnej rozrzutności.

Ks. Róża powiła spieszenie córkę dans le quartier du palais Royal i zaczęła bywać. Paryż i pani podobali się sobie wzajemnie. *La princesse printanière* zwano ją powszechnie. Na przekór tantym „wysokim

w tonie“ komtessom nadwiślańskim *elle avait respiré l'air de la cour* jak stwierdza H. Vallon, czyli respirowała przyjemne tchnienia u dworu, jak mówiono z zazdrością w Polsce. Arcy-kurtyzanna z Louvanciennes p. Dubarry przygarnęła ją odrazu i tkliwie do swego, wypadłego już z łask królewskich, serca. Słuchając śliskich dowcipów lorda Seymour i księcia de Brissac, przyzierając się z bliska sposobom bycia kochanicy Ludwika XV-tego, napewno przestała się nudzić markotna pani z Czarnobyła. Bawiono się, nietylko w Louvanciennes, pospiesznie, jakby w gorączce. Bo już czas był ostatni, czas, o którym potem powie przecież Talleyrand: „kto nie żył przed rokiem 1789-tym, ten niema pojęcia, co znaczy prawdziwa radość istnienia“. Różyczka z Czarnobyła najmłodsza faworytka *ancien régime'u* zdążyła jeszcze przybyć w porę i przeżyła z nimi ten pojny rok ostatni.

Książę-pan powrócił tymczasem do lubej ojczyzny i wmieszał się co nieco, chociaż niezbyt ambarasująco, w prace Sejmu Wielkiego. Z Paryża płynęły raz poraz do Opola rozradowane sztafety o niezwykłym powodzeniu małżonki. Prawdopodobnie nie bez związku z jedną z owych sztafet wyjechał raz książę w trzaskający mróz do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie dnia 6 stycznia 1789 wciągniętą została do ksiąg zapiska takowa: „J. O. książę Imć Aleksander Lubomirski, zapobiegając całości majątku swego, o nieważności długów zaciągniętych przez żonę swoją lub skryptów wydanych, że nie będzie w obowiązku płacenia, manifestuje się“!!!

Dlatego zdaje się ks. Róża wróciła do ojczyzny, ale nieprędko o niej usłyszymy. Dopiero w trzy lata później i to w chwili podniosłej, w momencie spełnienia obowiązku patriotycznego, w pierwszą rocznicę Konstytucji 3-go maja! Na owej pamiętnej premierze „Kazimierza Wielkiego“, kiedy król Jegomość, pogodzony z narodem, wśród powszechnego aplauzu przyklasnął głośno słowom aktora, *la princesse printanière* była także przedmiotem owacji za to, że pojawiła się w łoży wraz z dwiema nieodstępniemi rywalkami w barwach białych i amarantowych! A cóż dopiero nazajutrz w kościele Św. Krzyża! Za jej przewodem pono dwieście albo i trzysta grafiń przystroili się w kontusiki biało-czerwone, ślicznie okrywszy amfiteatralne siedzenia. „Nic wspanialszego, a razem prostszego nie widziałem w życiu!“ woła zachwycony podróżnik Szulc.

Lecz zdaje się, że właśnie wtedy, gdy z entuzjazmem wdziewała kontusik patriotyczny, coś wstrząsnęło mocno duszą strojnisi. Byłaż to miłość, ta pierwsza, wielka, niepuđrowana? Może. To i owo po cichu szeptano o tem w „kompanji“ pań warszawskich. Podobno Mostowski



i nic dziwnego, że właśnie on, Tadeusz Mostowski. Najmłodszy i najwytworniejszy z pośród senatorów Sejmu Wielkiego. Ten wszędobylski „causeur“, przemądry gładysz, dowcipem przewyższający nawet ciętego Ursynka, z którym wspólnie nadawał ton stronnictwu patrijotycznemu i redagował „Gazetę narodową i obcą“. Światowiec, dziedzic włości wspaniałych we Francji, *toujours incomparable* wedle słów Piatollego. Niedawno ożenił się i już pono zdołał się rozwieść z Anną Radziwiłówną, równie brzydką, jak mądrą i sentymentalną, która później zaczęła pisać swe romanse, pierwsze czułe romanse polskie! I oto ten właśnie Mostowski, którego ubóstwiane na salonach imię wymawiają damy jedynym tchem obok imienia kolącej róży z Czarnobyłą, wyjeżdża nagle w ważnej misji za granicę. Wybuchła rewolucja francuska. Należy wy badać intencje rządu rewolucyjnego wobec Polski w chwili, gdy idzie o „obalenie tronów wszystkich królów“. *Son activite peut faire naître des chances* szepce królowi przebiegły włoch, radząc wysłać Mostowskiego. Niełatwej, ale doniosłej imprezy podejmuje się młodzieniec z zapalem i jesienią r. 1792 wyjeżdża do Lozanny.

Tuż potem opuszcza Warszawę ks. Róża. Co łączyło ich oboje, wśród jakich okoliczności ten krok szalony nastąpił, próżno dochodzić. W pamiętniku swym więziennym, spisany później po latach dla użytku Katarzyny II-giej, Mostowski powie krótko: *Je trouvai à Lausanne la princesse Lubomirska*. Spotkałem w Lozannie ks. Lubomirską. Jeśliby wierzyć bałamutnym opowieściom Hoffmanowej, sprawa nie była wcale prosta, owszem w powikłaniach swych godna niejednego z romansów, czytanych wśród łez przez opuszczoną żonę Mostowskiego. Miało bowiem być tak: ks. Róża pojechała za Mostowskim, on natomiast pędził w ślady jakiejś pani S... a znowu Adam Broniec, oficer J. królewskiej Mości, pobiegł za ks. Różą!...

I wcale nie chłodziło tych zachodów miłosnych ciemne niebo Europy, rozdzierane raz po raz grzmotami wielkiej rewolucji!... W lecie r. 1793 spotykamy w „Szwajcarjach“ w Chamouix, tajemniczą parę, już na dobre zadomowioną w kole dawnych przyjaciół, a więc wśród tej części socjety francuskiej, która zdołała na czas ujsć z Paryża i tutaj czeka, kiedy skończy się owa niemila awantura. Nie kończyła się jakoś. Paryż w czapce frygijskiej śpiewał Marsylianę. Ludzie mówili sobie „ty“. *Il n'y a pas de vous dans la république*. Ludwika XVI-go powleczono do więzienia w Temple, a potem dnia 2 września Danton rzucił hasło. 1500 tapirowanych głów padło pod toporem. Żyryndyści wzięli ster. Tem samym nadeszła chwila czynu dla Mostowskiego, który niecierpliwie czekał

w Chamounix. Z żyrondistami zostawał oddawna w stosunkach. *Enfin*: kochankowie muszą się rozłączyć. Ks. Róża ani słyszeć o tem nie chce. Szaleństwo! Powinna zostać i czekać jego powrotu po skończonej misji. Niespodzianie zaiste przychodzi szalonej damie „pomoc“ rządu szwajcarskiego. *A cause de quelque légèreté dans ses propos*, z powodu pewnych lekkomyślnych wyrażen ks. Róży (tak pisze Mostowski w pamiętniku) wydalają ją nagle z granic Szwajcarii. Te wyrażenia zaś miały być pono zbyt przyjazne dla rewolucji!... „Nie mogłem żadną miarą opuścić księżny w tak kłopotliwej sytuacji, więc... pojechaliśmy razem!“ (tak się tłumaczy dalej Mostowski).

Warto zważyć: W chwili, kiedy wszystkie diuki i princessy całego świata dziękują Bogu, że ich tam niema w Paryżu, kiedy bulwary spłynęły krwią, a nóż dr Guillotin ani na chwilę nie wysycha — ci dwoje, Tadeusz Mostowski z ks. Aleksandrową Lubomirską, wjeżdżają w granice Francji, dnia 10 października 1792. Jego woła tam obowiązek, a chroni paszport dyplomatyczny, ją tylko bezbronnie i zdane na łaskę losu — serce.

Lub może jeszcze coś innego parło szaleńców do wojażu?

Owa mianowicie dziecięca, niczem nie przerażona ciekawość ludzi rokoka. Przyznaje się do niej *toujours incomparable*: „Jechaliśmy... porwani żądzą ujrzenia Paryża w takiej właśnie chwili. Było to jakoś w miesiąc po straszliwych masakrach wrześniowych r. 1793... Miasto rozkoszy stało się miastem grobów... Cisza, trwoga i podejrzliwość rozsiadły się wszędzie, a lęk tajemny widniał na wszystkich obliczach“.

Nie znaczy to wcale, jakoby *façon de vivre* uległ zmianie. Księżna Róża zjechała do Paryża z całym swym dworem, z lokajem francuzem i służącym angikiem. Zaraz po przyjeździe wysłała list do pani matki. Ten właśnie znauy nam list, w którym obiecuje nigdy więcej nie wrócić do kraju, a też skarży się na nudę żywota swego. Nie przeczuwa, że urozmaicenia przyjdą szybko, za szybko...

Pani Dubarry powitała przyjaciółkę z uniesieniem i zawiadomiła o wielkiem nieszczęściu, które ją właśnie spotkało. Oto jacyś złoczyńcy ograbili jej cudowny sezam z wszystkich prawie kosztowności. Ale już ogłosiła listę kosztowności w dziennikach wraz z sowitą nagrodą (50 tys. fr.) za wskazanie sprawców. (Nie przypuszczała nieszczęsna, ile zapłaci wkrótce za to ogłoszenie!). W damoklesowej sytuacji tkwi zresztą jakiś drażniący, nieprzeparty urok. Societa paryska zbiera stokrotki na zbozczach dymiącego wulkanu. Czasy są takie, że w sakiewkach trzech markizów znajdzie się razem ledwie jeden dukat, ale radzą sobie jakoś. A już najlepiej ks. Róża, przyzwyczajona i w ojczyźnie do podobnych



Decretze

Pani Dubarry

sytuacji. *Marchand de musique* dostarcza na kredyt muzykaljów, tapicer dekoruje wnętrze pałacu kosztem 4.000 franków. Ten pałac, wynajęty przez księżnę stoi na *quai Challiot 33*, w pobliżu pól elizejskich. Mostowski mieszka tuż obok. *Quai Challiot 33* staje się odrazu łącznikiem między emigracją i Paryżem. Kto został żyw z dawnej societey, bywa co wieczór u ks. Róży. Pani Vigée Lebrun portretuje ją z zapalem. Mostowski, z dawna znajomy pani de Roland, ułatwia nowe znajomości w kole pań krwi błękitnej. Czy jednak czuje się szczęśliwą przy boku ukochanego? O tem będzie mógł później powiedzieć conieco chyba Sievers, który po powrocie Mostowskiego do Polski zrobi rewizję w jego papierach i znajdzie tam „rozmaite bileciki pań z arystokracji francuskiej, jako to: księżny de Choiseul, ks. Monaco i pani de Valence!“ Z mniejszym powodzeniem Mostowski próbuje nawiązać stosunki z Komitetem Ocalenia publicznego; dystansuje go tu z kretesem blagier i bolszewik Turski (Albert Sarmata), który wygłasza w imieniu Polski ognistą przemowę przed kratkami konwentu, „przyientą — jak wyznaje w swym nieortograficznym manifeście — z wyciongnientymi renkoma w świątyni wolności“.



Wypadki pędzą szybko. 20 stycznia Ludwik XVI staje na szafocie, 6 marca zaczyna urządować trybunał Dantona, żyrondyści, z którymi miał stosunki Mostowski, zmieceni z powierzchni. Na quai Challiot cichnie śpiew i muzyka. Mostowski z ks. Różą aresztowani, wychodzą cało tylko dzięki przyjaźni z komisarzem policji.

Dyszący potwór z zielonemi żyłami objął ster gilotyny. Arystokratki paryskie przebijają się za pomywaczki. Kawalerowie kryją się w bluzach robotniczych. Nawet marszałkowa Lubomirska, łudząca się do ostatka, że przeczeka niemiłe *événement*, uciekła za granicę. Konstancja Rzewuska, z mężem i dziećmi wleczona przez tłum wyjący, cudem tylko uszła rzeczy ostatecznych. Wybicki, udając jakobina, prześlizguje się szczęśliwie przez rogatki.

*Il était temps.* Ziemia paliła się pod stopami.

Nareszcie wyjeżdża i Mostowski. W ostatniej chwili. W parę godzin potem przetrząsnęto jego mieszkanie. „Gdyby nie uciekł, poszedłby na szafot“ rzekł później Robespierre do Barsa.

Wyjechał, ale sam. Księżna Róża została. Dlaczego? trudno dojść powodu. Wiadomo, że oboje nie mieli już sobie nic do powiedzenia. Szwajcarska idylla miłosna skończyła się finalnie w Paryżu. Później po latach, w więzieniu petersburskiem, Mostowski będzie o niej mówił — półgębkiem, prawie niesmacznie.

Mogła wszelako wyjechać osobno, musiała nawet wyjechać wobec niechybnej groźby aresztowania. Pomimo wszystko została. Pani Hoffmannowa daje w tym miejscu do zrozumienia, że wyjazdowi przeszkodził — nowy romans. (Różyczko, oh, Różyczko!) Zanim jeszcze Mostowski przedostał się przez granicę, a już wysłańcy krwawego trybunału przetrząsnęli pałac księżny. Nie znaleźli niczego, natomiast p. Dubarry powiedziała na śledztwie dużo, za dużo... Na podstawie jej zeznań w trzy dni później Lubomirska wraz z córeczką znalazła się w wilgotnych podziemiach Petite Force.

Dziwne więzienie. „Było ono jedynem miejscem — wyznaje z dumą ks. d'Abrantès, — gdzie panowała wesołość i swoboda umysłu. Śmierć has nie przerażała, więc nie baliśmy się już niczego. Ożyły rozmowy, przypominające dawną elegancję i wytworność, z której słynęliśmy na świecie“.

Dla nikogo z nich niema ratunku, dla ks. Róży także. Same zeznania pokojówki wystarczą, aby znalazła się wśród tych, którzy z obciętymi włosami jadą na dwukołowym wózku!...

*Enfer et damnation!* Już teraz naprawdę.

Było to w listopadzie roku 1793. Tymczasem w Polsce, w uroczej Tarchominie, wypoczywał po trudach dwutygodniowego wojażu Tadeusz Mostowski, „ciesząc się szczęściem i spokojem pól“.

Dni smutnego więzienia Lubomirskiej znane są nierównie lepiej od dni jej wesołej wolności. Już nieraz o tem opowiadano. Dochowały się akta jej procesu w archiwum trybunału rewolucyjnego, zaś w annałach historii snuje się długi ciąg usiłowań, by uratować Różę z Czarnobyła, która mogąc uciec, została. Nie wiele chyba było ofiar rewolucji, dla których ocalenia przedsięwzięto tyle starań! Aresztowanie Polki stało się najpierw głośne w kołach jej rodaków, z którymi coprawda nie wiele miała styczności i wspólnoty. Nieszczęśliwy i odpalony Broniec poruszał niebo i ziemię. I zdziałał istotnie wiele. Używano dróg wszelakich, wymyślano protekcje, których nie mogły mieć ani pani de Roland, ani Dubarry.

Najpierw gmina miasta Paryża uczyniła instancję w Trybunale.

Potem minister spraw zagranicznych Desforgues kołatał u Robespierri'a, przedkładając, że egzekucja Polki i to niewinnej zrobi najgorsze wrażenie w jej ojczyźnie.

Daremnie. Potwór z zielonymi żyłami pokazywał w odpowiedzi na interpelacje list ks. Lubomirskiej do p. Dubarry. W liście były współczujące słowa o królowej i przejrzyste aluzje do „majestatu władców ludu“.

*Citoyenne* Lubomirska zostaje nadal w nędzy i brudzie więzienia *Petite Force*. Codzień żegna wiedzione na szafot ofiary, codzień wita nowe towarzyszek, lecz przecież ufa mocno w tę swoją dobrą gwiazdę. Usiłowania mnożą się. Kolonja polska w Paryżu wysyła osobną ekspedycję do kraju, do Kościuszki, bo jeśli kto to on, potrafi uratować nieszczęsną. W tym celu wyjeżdża ekstrapocztą z Paryża Hipolit Błęszyński.

Aby zyskać na czasie nieszczęsna chwytła się powszechnego wówczas środka: symuluje ciążę. Liczy głównie na to, że jej bratowa z Równa wpłynie na Kościuszkę. Tą bratową jest bowiem — Ludwika Sosnowska, młodzieńczy ideał Naczelnika.

A jeden tylko człowiek nie okazuje wcale zdenerwowania i traktuje całą sprawę z przedziwnym spokojem. Początkowo sądził, że zamknięto damę za... długi i dziwił się (bo któżby chciał w takich czasach niespokojnych pożyczać pieniądze cudzoziemkom?). Teraz już wie, że powód jest polityczny, owa „niepotrzebna“ korespondencja z p. Dubarry. Trzeba będzie, tak obiecuje, posłać w maju (tz. za dwa miesiące) p. Jeauffrai do Francji. Tym spokojnym człowiekiem, obiecującym po-

moc w maju, jest nie kto inny, a rodzony mąż ks. Róży — Aleksander Lubomirski.

Tymczasem w Tarchominie aresztowano Mostowskiego. Pod zarzutem jakobinizmu kazał go uwięzić ambasador Sievers. A jedną z głównych podstaw aresztowania były znalezione przy rewizji listy... właśnie jej listy... Róży Lubomirskiej! Zwolniony po trzech miesiącach choruje ciężko i gdzieś w marcu dopiero będzie mógł zacząć działać w sprawie interwencji.

Do ministerjum policji francuskiej i do protokołu dyplomatycznego napływają nowe i coraz bardziej naglące urgensy. „Nie przestanę powtarzać — czytamy w jednym z nich — że, o ile na Lubomirskiej żaden zarzut nie ciąży, to jest rzeczą ludzkości, sprawiedliwości a nawet rozważnej polityki uwolnić ją natychmiast! Podobny akt tem silniej spotęguje uczucia Polaków wobec nas“.

Mija zima i wiosna. Już piąty miesiąc cierpi w strasznem oczekiwaniu i wilgotnej kaźni Różyczka z Czarnobyła. Przenoszą ją do coraz innych, coraz gorszych więzień. Punktem ambicji jej i wszystkich towarzyszek jest: dochować wiary dobremu tonowi. Przy brudnym zlewie więziennym, pod studnią, piorą duchessy zdartą resztkę indyjskiego muszlinu, lub rozdzielają, jak relikwie, ostatnie szczypty pudru czy szminki. I zgodziły się wszystkie na nowy rodzaj fryzury: *à la victime!* Włosy krótko ucięte, aby sobie oszczędzić dotyku ręki kata.

W nich wszystkich, w niej szczególnie, zachodzą wielkie zmiany. Straszne więzienie stało się szkołą jej życia. Jeśli wyjdzie, inaczej patrząc będzie na świat. Jakie inne teraz jej listy! Prostota w nich jest i serdeczna tkliwość. A szczególnie ten wzruszająco szczery list do rodaków paryskich, do nieznanych damie szarych demokratów: „Nie zasłużyłam na wasze względy, ale teraz w więzieniu nauczyłam się kochać moją ojczyznę“. Różyczko, Różyczko!

Lecz pomóż nikt nie zdołał. Ani Ludka Sosnowska, która umyślnie jeździła do Warszawy, do Kościuszki, ani listy Naczelnika, Zakrzewskiego i Mokronowskiego, ani niestrudzona bieganina pocziwego Barsa, który ziemię i niebo poruszał. Na inny jeszcze pomysł ratunku wpadła sama ks. Róża. Przedtem symulowała stan odmienny teraz udaje — miłość. Wiedząc o tem, że Błęszyński jest dobrze widziany w kołach rewolucji, pisze doń kilka listów pełnych gorącej tęsknoty, obliczonych na to, że będą przejęte przez trybunał. Listy umyślnie sfingowane: „Nadszedł czas złożenia dowodu, żeś był rzeczywiście godnym mego szacunku. Okryłam się wstydem, aby ocalić życie twego nieszczęśliwego dziecka“...



Ostatni chciał ją ratować współwięzień, cudownie piękny ksiązę La Tremouille. Przekupił strażę, mieli ją właśnie wypuścić. Nie udało się. Nazajutrz zginął z imieniem Róży na ustach. Z tego powodu Robespierre kazał przyspieszyć postępowanie. W raporcie złożonym wkrótce potem komisarzowi spraw wewnętrznych powiedziano: Mam honor donieść, że Rozalja Lubomirska *a été mise à mort*. Pozdrowienie i braterstwo“. „Wiosniana księżniczka“ z Polski była jedną z ostatnich ofiar terroru. Ten nóż gilotyny, który odebrał jej życie, uczynił to samo w 27 dni później Robespierre'owi.

W tragicznych losach Różyczki z Czarnobyła kryje się jakby dziwna symbolika i tajemna przekora losu. Co ją powiodło na szafot: uczucie? lekkomyślność? pustota?

Miłość! powiadają jedni. Zbieg okoliczności! twierdzą drudzy. Pustota, tylko pustota! sądził — jej własny mąż.

Przez życie przebiegła wedle przykazań epoki. Szeroko, rozrzutnie, lekkomyślnie. Szła szukając miłości, dla której skłonna była do ofiar.

Nie znalazła i kazano jej zapłacić życiem.

A w chwili, gdy w Paryżu spadał nóż gilotyny na szyję Róży z Czarnobyła, w dolnych pokojach pałacu młynowskiego otworzyły się na rozcież wszystkie drzwi w amfiladzie. Siedząca w lewym skrzydle u bórka matka Różyczki, pani starościna żmudzka, powstała zdziwiona i zaczęła iść amfiladą, przez rozwarte i jeszcze rozwierające się drzwi. A wtedy w ostatnim ujrzała widmo swej nieszczęsnej córki z głową oddzieloną od tułowia.

Wkrótce potem Mostowski dostał się do więzienia w Petersburgu i na życzenie Katarzyny II spisał w sposób przyjemny, lekką francuzczyzną wspomnienia swojego życia. Nie wiedząc o niczem, wspomniął i o Różyczce:

„Uratowała się od gilotyny  
udając stan odmienny.

Ja niestety użyć tego sposobu nie mogłem“.



## *Warszawianka*

*Śliczna z postaci, żywa jak łania,  
Oczki jak zorza, usta w rubinie  
Z rączym się wiatrem w tancu ugania  
Chwyta za serce, kto się nawinie.*

St. Trembecki:  
Do Kossowskiej w tancu







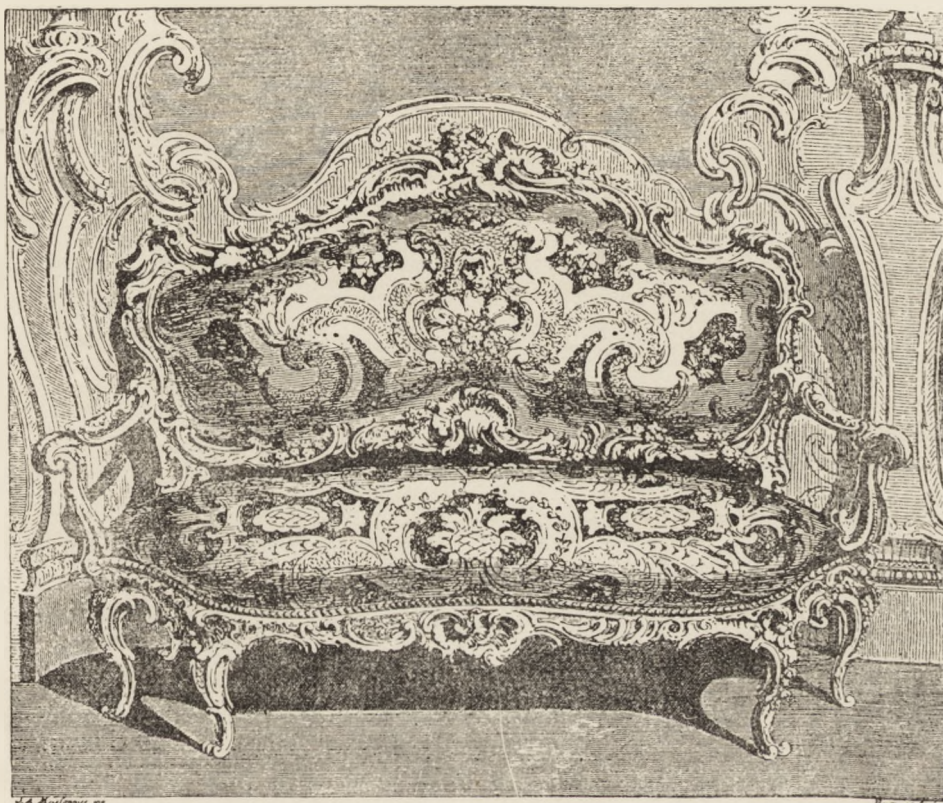
*J. B. Lampi*

*Galerja Pawlikowskich w Medyce*

Barbara z Bielińskich Kossowska  
(1760—1801)







Canapé exécuté pour M. le Comte de Bielski Grand M<sup>re</sup> de la Couronne de Pologne, en 1735

WŚRÓD wszystkich pań rokoka ta jedna zasługuje w całej pełni na miano Warszawianki. Nietylko dlatego, że urodziła się na Nowym Świecie. Jeszcze z innego powodu. Gdy tamte mają swe włości gdzieś daleko po świecie na Podolu, Ukrainie, ona ma je tuż obok. W ulicach Warszawy. A posiadają (obie z siostrą) tych ulic sporo: Pół Marszałkowskiej i całą Pańską, pół Świętokrzyskiej, Jasnej i Szkolnej, całą Wilczą i Otwock w dodatku. Chyba wśród wszystkich Warszawianek, jakie kiedy oglądał król Zygmunt z kolumny — ta jest *pur sang* najbardziej, *Varsaviae adscripta*, i najprawdziwsza. Skąd jej to przyszło? Poprostu. Rodziła się z Franciszka Bielińskiego, a ten wziął tęgą sukcesję i jurydękę Bielino po znakomitym i bezdzielnym marszałku.

Czarnobrewa pani Basia. „Lube dzieło natury“.

Nazywają ją córką trójcy św. W tem powiedzeniu nie ma wcale bluźnierstwa. Powstało stąd, że szanowna *maman* należała do owych

trzech pobożnych dam, które Warszawa zowie „miłą trójcą świętych pań“. Damy owe (Granowska, Lanckorońska, Bielińska) dziergają wciąż hałasowe robótki i długo jeszcze dziergać obiecują, a to na filantropję i uproszenie zmiłowania Bożego dla poniatowskiej Sodomy. Od dziecka patrzy pani Basia na owe pobożne praktyki. Ale bez entuzjazmu. Robótki i rozmyślenia nie pociągają jej. Safianowa książka do modlitwy, o ślicznie złożonych brzegach — słodkie *cadeau* wszystkich trzech mamusieczek — leży na gotowalni bez użytku. Pani Basia bowiem stworzyła sobie inną trójcę. Mniej świętą, zato głośniejszą. Wiadomo kto: Różyczka z Czarnobyła, *la belle Julie* Potocka i ona. Wiosenne, do dziś woniejące, trifolium polskiego rokoka.

Samoczwart z paniami chodzi po asambłach amerek i nie może nastarczyć strzałek. I też Parys olimpijski, który zawsze wraca z jabłkiem, niezdecydowany jak i *toute Varsovie*. Nie umie orzec, która z nich była piękniejszą, tak jak dziś historyk nie wie, która z nich bardziej niešťczęśliwą. Nad Giuliettą i Różyczką góruje pani Basia wspaniałością budowy. Tamte są eteryczne i zwiewne, ona — rośła, zamaszysta, rasowa. Tę zaś zdrową i rumianą zamaszystość ozdabia jeszcze wszystkimi urokami kobiecego *façon d'être* i łączy ze słodkowonną harmonją ruchu, słowa, uśmiechu!

Może jeden angielski portret zdołałby tylko uwiecznić, ujawnić i uprzytomnić nam tajemnicę uroku p. Basi — ale nie polski. To jasne. Ani wrażliwy Grassi, ani ten mniej pedant Lesserowicz, ani chociażby największy majster w tej mierze — Lampi. Już raczej jedwabista i śpiewna strofa Trembeckiego. W jego pysznym erotyku pani Basia tańczy do dziś:

Nóżki się ledwie widzieć pozwolą  
I tylko czasem tykają ziemi  
Wszystkie w niej członki razem swawolą  
A zefir igra z szaty wiotkiami

To był walczyk w objęciach rozkosznego Gucia. A teraz kozak, do którego bierze ją zawsze *le prince charmant* Pepi:

Gdy się na zwrocie nieco zawinie  
Lotny fartuszek, albo spodniczka  
Ledwo z chciwości oko nie zginie  
Żeby obaczyć chociaż — trzewiczka!





*J. Grassi (1757—1838)  
Bibl. Pawlikowskich, Lwów*

*Barbara z Btelinskih Kossowska*



Istnieje niesprawdzona, dość fantastyczna legenda, że były pono w Warszawie Stanisławowskiej aż cztery małżeństwa dobrane. Nazwisk nikt wymenić nie umiał, zdaje się przecież, że państwa Kossowskich nie było w tej czwórce. Jakim podstępem chytry i łysiejący podskarbi Roch Kossowski dobrał się do rączki panny Bielińskiej, to także sekret, ale do rzeczy nie należący.

Zagadkowy marjaż pp. Rochów powiększył wkrótce potem ulubioną na salonach kolekcję „Zagadek“ nowym dwuwierszem:

Zonę ma piękną jak bożek  
Przydomek dają mu... rożek.

O pani rymowano inaczej:

Zamaszysta, gdyby Djana  
Umizga się, gdyby panna

gdyż kostjum bogini łowów był ulubionem przebraniem hożej Warszawianki. Wkładała wtedy na swe czarne włosy precudny djadem brylantowy w kształcie półksiężyca. Ten półksiężyc świecił u wezgłowia łóżnicy ks. Józefa w owym pamiętnym wieczorze „Djany i Psychy“.

Gdy hr. Engeström, pełnomocny poseł Najj. króla Szwecji, przybył do Warszawy, zaraz w pierwszym dniu, w tym samym czasie, gdy składał wizytę braciom i siostram królewskim — wrzucił bilet u p. Kossowskiej. Pani Barbara była bowiem wielką przyjaciółką ciała dyplomatycznego. U przedstawicieli państw obcych ceniła przede wszystkim... dyskrecję. I to, że nie mają zwyczaju, przynajmniej w Warszawie w 18 wieku, pisania pamiętników. Bo gdyby byli niedyskretni, albo pisali, to ileż nowej materji przybyłoby na ten „czarny płaszczyk potwarzy“, który od początku szyły dla niej chude, dworskie plotkarki. O tego posła angielskiego szło głównie. Zazdrościły jej, chociaż nie było czego. W dekalogu pań wytwornych liaison z legatem Albionu należało do najszczytniejszych przejawów wysokiego tonu. Dość wspomnieć, że sama Radziwiłłowa z Arkadii raczyła kochać się nieszczęśliwie w panu de Whitworth. A kiedy Whitworth poszedł nad Nową, następcą jego w Warszawie został sir Hailes i ten oto Hailes oszalał z miejsca, ujrzawszy czarne oczki i rumiane buzie pani Barbary. Zazdrozczono jej, ach, zazdrozczono i to właśnie było najzabawniejsze. Bo Whitworth liczył się do najmodniejszych lowelasów Europy, a sir Hailes był rudy, brzydki i nieznośny.



J. A. Meissonnier. Cabinet de Mr le Comte Bieliński Grand Marechal de Pologne exécuté en 1734



Kazał sobie natychmiast przełożyć na angielskie wierszyk Trembeckiego, nauczył się tańczyć menueta, zapewniał ją, że nie wierzy temu wszystkiemu, co w antyszambrach mówią o niej, o królu i o Pepim. Cokolwiekby mówili, nie wierzy. Pani Barbara zasię wyśmiała wszystko: łysinę, menueta, i całego Hailesa. Pektoralik, zwany sercem, poradził jej co innego. Rzuciła rudą Anglję, wybrała blondwłosą, 20-letnią Rossiję. Nazywał się (jeszcze niemodnie) Gustaw, był synem Stackelberga i uczył się dyplomacji w kancelarji papy.

Dyplomacja Albionu poniosła jeszcze jedną klęskę w walce z przemożnym wpływem Petersburga. Warszawa śmiała się, a nielitościwa pani Basia kazała pocieszyć Hailesa słowami Kleopatry: „Jeżeli go znajdziesz smutnym, to powiedz mu, że tańczę“...

Rudy wyspiarz zawrzał gniewem i obmyślił zemstę. Zemścił się na... papaszy. Zażądał natychmiast odwołania Stackelberga z Warszawy! Wprawdzie nikt nie wiedział, czy to on zażądał i czy dlatego właśnie, ale p. Barbara wierzyła święcie, że tak było. Bohaterka wiersza Trembeckiego zyskała drugi tytuł do nieśmiertelności. Stackelberg poszedł przez nią w duraki! I co gorsza wziął z sobą syna.

Nieutulona w żalu pani Basia zaprzysięgła zemstę Imperatorowej i przeszła w szeregi zwolenników — Konstytucji 3-go maja!...

Rudy Anglik dostał także za swoje; na złość mu skokietowała Kazimierza Nestora Sapiechę, który pod jej pono wpływem wstąpił do stronnictwa patriotycznego! Słowem, same czyny obywatelskie.

Patriotyzm pani Basi nie trwał atoli długo. W czasie Insurekcji Kościuszkowskiej pokazywano ją palcami jako obojętną. Gdy w czerwcu r. 1794 „kilkanaście tysięcy osób płci rozmaitej w dobrym porządku“, z „podwójną janczarską muzyką“ ruszyło z zapalem za miasto do sypania szaniców, a wytworne panie szły z plebsem pospołu, trzech tylko nie było wśród nich: Grabowskiej, Oborskiej i Kossowskiej. Nazajutrz otrzymała „bilet od żarliwych obywaterek“ z wezwaniem do spełnienia powinności. Bilet pozostał bez odpowiedzi, o czem żałośnie doniosła „Ga-



W. Leseur

Pani Kossowska





*J. Grassi (1757—1838)  
Bibl. Pawlikowskich, Lwów*

*Barbara z Bielinskich Kossowska*

zeta Warszawska“. Solidarnie z Grabowską i Oborską odmówiła pani Barbara udziału w podejrzanych praktykach. Już zapomniała Katarzynie dawnych uraz teraz; razila ją — piosenka o „kościuszkujabłuszku i szyszcze borowej Imperatorowej“.

Nie miała serca dla tej piosenki, tak jak jej nie znalazła później dla innej: o Basi i zapłakany ojcu. Zresztą gdy „nasi“ gdzieś tam za morzem „bili pono w tarabany“, w Warszawie pruskiej było wcale wesoło, nierównie weselej, jak za Sejmu Wielkiego. Teraz dopiero zbudził się w pani temperament, a piękność rozkwitała, tak jak w czerwcu kwitną piwonje. Sama jedna została z wesołej trójki, sama i — zwycięzka. Różyczka z Czarnobyła zginęła pod gilotyną, *la belle Julie* spoczywała od lat sześciu w katakumbach krakowskich. Pani Basia króluje na wszystkich balach warszawskich w epoce bezkrólewia mody, na rozdrożu między rokokiem i empirem. W r. 1800, w pantominie na wieczorze u Małachowskich grała w sposób zachwycający rolę Psyche, która z kagańcem w dłoni idzie na poszukiwanie uspiętego Erosa. Wtedy zaszła jej drogę — Parka z nożycami. Dnia 10 czerwca 1801 padła ofiarą macierzyńskiego poświęcenia. Historia bywa jednak czasem nielitościwa. Potrafi opowiedzieć bez liku skandalików i ploteczek z życia pani Basi,

a o tym tajemniczym zdarzeniu milczy. I tylko kamień grobowy na Powązkach mówi głośno do dziś: „Cnotliwej matki zwłoki kryje ta mogiła, dzieciom życie ratując, swoje utraciła“.

Za wcześnie skończyła się. Co najmniej dziesięć lat królowania czekało ją jeszcze pod Blachą.

Złoczone brzegi książki do nabożeństwa  
nie miały nawet czasu zetrzeć  
się pod paluszkami czar-  
nobrewnej pani  
Basi.

VII.

*Giulietta, la bella*

„Julja Potocka był to wdzięk uosobiony; kiedy w mazurze kibic jej zwiewna na slicznej, ledwie ziemi dotykającej, kołysze się nóżce,... gdy wysliznięta z objęć jednych rzuca się w drugie... te ją chwytają, w tamtych się okręca..., gdy wreszcie tancerz wróconą doń mknieniem błyskawicy w wirowe unosi koło, a ona znużona zwiesi główkę na szyję z lekkim rumieńcem rozkoszy i wstydu, a utkwionem okiem potęgę swych uczuć przelać weń pragnie, wtedy scisnieni widzowie z sercem bijącym, z wrytem na oczach wrażeniem nie mogą wzroku oderwać i wzrokiem swój zachwyty tłumaczy. Tłumione tylko słysząć niekiedy wykrzyki widzów: *Grand Dieu! que Julie est belle!*”

Fr. Schultz. *Voyage en Pologne* (1793)







*J. B. Lampi*

Julja z Lubomirskich Janowa Potocka  
(† 1794)







Z. Vogel (1764—1826

Widok Krzeszowic

**W** IADOMO, co się damom podobało najbardziej: Poema pana Woltera, drastyczne i śliskie, pod tym właśnie tytułem (*Ce qui plaît aux dames*). I to nie tyle w oryginale, co w figlarnej i bardzo dowcipnej przeróbce młodziutkiego Niemcewicza, opowiadającego czytelnikom:

O dawnym, iednym rycerzu  
Co chodził w zbroi i starym pancerzu  
Nazywano go Robertem  
Żył pod królem Dagobertem.

Podstępna wróżka Urgela, przybrawszy postać ohydnej staruchy, zniewoliła go do małżeństwa a potem w nagrodę za dotrzymanie słowa zmieniła się w noc posłubną w najpiękniejszą z kobiet. I stała się taką jak Venus:

Gdy śnieżną dłonią długie włosy podnosząca  
Luba tysięcznym wdziękiem i woniami tchnąca  
Dzielnego Marsa czekała.

Lub taką (dodaje od siebie tłumacz)

jakieś widział świat podbić gotowe  
Julję, Kossowską i Aleksandrowę.

Ta arcygrzeczna wstawka Ursynka w poemacie Woltera to jeszcze jeden hold, hold już ostatni, złożony czarownej trójce pięknych pań.

A pierwsza wśród wymienionych, to właśnie najurodziwsza z trzech, historyczna i legendarna piękność: Julja z Lubomirskich Potocka.

Marszałkowa Lubomirska historycznie nienawidziła swych czterech córek zarzucając im ciągle, że się nie urodziły synami. Jedna z nich poślubiła Seweryna Rzewuskiego, trzy inne rozmaitych Potockich. Julia była żoną Jana, zwanego *Jean Maroc* lub *Jean voyageur*. To ów genialny powieściopisarz i jasnowidzący historyk, którego fenomenalna umysłowość dopiero dziś, po stu latach, olśniewa ludzi. Wtedy jednak był jeszcze nudnym i odludnym dziwakiem, i umiał np. w chwili dobrego humoru wejść do salonu swej matki nago, ze szpadą przy boku, potrafił pojechać do Egiptu po to tylko, by na jednej z piramid wyryć kozikiem werset z Delille'a. Drukował książki, tak by nikt ich nie mógł czytać, latał balonami, grzebał w księgach i podróżował po Tunisie, Persji, Arabji i Hiszpanji. Nad miłość oddanej mu żony prznosił miłość nieodstępnego Turka Ibrahima a p. Julji okazywał tyle samo sentymentu, co jej matka. Nie widywał żony prawie, zagrzebany w foljantach swej biblioteki, nie dostrzegał jej „wdzięków w farbach nieszukanych i jej pieśczot niezmyślanych“.

*Giulietta la bella* miała w opinii pań wytwornych jedną dziwną, niewytłumaczoną dla nich usterkę. Była uparcie i konsekwentnie cnotliwa. Żona takiego dziwaka i wierna! Niesłychane! Dziwne. Nie obnosiła swych wdzięków po łóżach masonskich i buduarach fircyków i kulisach teatrów amatorskich. Zaś teatr był jej pasją i należała do drugiej jeszcze głośniejszej trójki aktorek. Wraz z Sewerynową Potocką i Tyszkiewiczową grywały często w Teatrze Złotej Loli na Dynasach. P. Julja bierze udział w tem historycznym przedstawieniu „Wesela Figara“, które wyprzedziło premierę paryską. Zapewne Zuzię grała, a może Cherubina, lub ową hrabinę, która „poruszana dwojakim uczuciem okazuje tylko czułość powściągliwą albo cholere umiarkowaną“ — jak objaśnia współczesny scenarjusz.

Wtedy też królowała w tańcu. A ten tancerz, w którego „potęgę swych uczuć przelewała“ to śliczna i jedyna pono, legendą otoczona miłość jej życia — Eustachy Sanguszko.

Drugiej takiej pary daremnie szukać w 18-tym wieku. Tylko Szekspir znał ją ongi w Weronie.

Major kawalerji narodowej, cudowny człowiek i żołnierz zwycięski z pod Szczekocin kochał Giuliettę inaczej, jak tamte wszystkie fircyki, „submitygujące się“ w buduarach. Więcej tęsknoty jak

szczęścia zaznali, bo wojna i los tragiczny rzuciły nim po świecie. Dla ratowania rodzinnych dóbr kresowych musiał wziąć na czas jakiś szlify



W. Leseur. Kopia z Grassi'ego

Julja z Lubomirskich Potocka

oficerskie w Petersburgu. W tym czasie nazwisko p. Julji wypływa w Paryżu. Bynajmniej nie — jak zwykle u innych — w skandalicznej kronice, ani w antyszambrach Trianonu. spotykamy je bowiem w pewnym tajemniczym liście szyfrowanym pod cyfrą 4211. Nie bylejąka to cyfra i nie dla frazdek. W tych samych listach bowiem nr. 4209 oznacza Tadeusza Kościuszkę. Było to w r. 1792. Wyjechał w sprawach przyszęłego powstania, zabiegał o wysłanie przez rząd rewolucyjny korpusu posiłkowego z Francji, któryby, wysadzony na Krymie, podał rękę polskim insurgentom. W tej swojej arcytrudnej robocie na gruncie paryskim nie wiele znalazł generał pomocy. Nie wiele wśród francuzów, jeszcze mniej w kolonji polskiej. Do owych nielicznych należała właśnie *la belle Julie*. Wzmianki w tajemniczym liście szyfrowanym dowodzą,



że działała ona w kołach Żyromdystów i miała nawet jakieś odpowiedzialne stanowisko w konspiracji. Wraca z Paryża zdaje się razem z Kościuszką, silnie związana ze sprawą Insurekcji. Patrzy z bolem i oburzeniem na rozpasanie swych wielu przyjaciółek, awanturujących się z Moskalami. „Damy nasze — pisze ktoś w tym czasie do Ignacego Potockiego — szaleją za nimi aż do wstydu. Te co z początku uciekały teraz giną za Moskalami. Prócz domu ks. Jabłonowskiej, Julji Potockiej



„Giulietta la bella” rozmawia z damą swego fraucymernu.  
Zartobliwy rysunek wykonany przez jej męża.

i Mokronowskiej wszystko podpada krytyce. Zubow otrzymał charakter Don Juana“. Potem fircynelle uciekają z Warszawy w strachu przed Kościuszką (i kto wie, może szafotem) — ona jedyna prawie z society stanisławowskiej zostaje. W sierpniu r. 1794 umiera nagle w Krakowie.

W tym czasie Eustachy Sanguszko był już z powrotem pod komendą Kościuszki. W dniu jej śmierci odniósł ranę, pod Barlicami.

Do Warszawy powstańskiej przedostaje się przez placówki rosyjskie wieść, że tam w Krakowie przestała żyć Giulietta. Wszyscy już wiedzą, nikt nie śmie zawiadomić Romea. „Niespokojność nadzwyczajna, sny trwożące — zapisuje on sam w swoim pamiętniku — wróżyły mi cios okrutny, który dokonał swych przeznaczeń i wydarł mi to, com najwyżej na świecie cenił“. Rannego odwiedza pod Blachą król i księżę podkomorzcy a nikt z nich nie śmie wyznać prawdy. Nakoniec „przybijają mnie ciężarem nieszczęścia mego. Drogi wszystkie przecięte. Mimo niepodobieństwa postanawiam dotrzeć sam na miejsce“. Aby sprawdzić, bo nie wierzy!

Bierze pod słowem honoru urlop od Kościuszki. Wdziewa mieszczaną kapotę. „Nocą ponad Wisłą przedzieram się przez strażę nieprzyjacielskie“. (Gdyby go złapali, stryczek, bo jest dezserterem z armji rosyjskiej). „Oświeca kroki moje jeszcze zar już zgastej dla mnie pochodni. Chęć zapalczywa dojścia do celu naraża mnie na wszystko, lecz oraz czyni ostrożnym w niebezpieczeństwach“.

Kupuje po drodze coraz nowe konie i gna bez tchu. Wiadomo co się dalej stało. Trafił już na kondukt, sunący ulicami. Ciągłe nie wierzy, że to jej pogrzeb. Patrzy w zamkniętą trumnę i nie wierzy. Musi ją zobaczyć! Z pomocą znajomego księdza dostaje się do grobowca.

„Spuszczono za mną grobowy kamień, a ja czując się swobodnym podnoszę wieko trumny... Słaby promyk dzienny, wpadając przez kratę otworu, oświeca śliczną jej twarz, tę gracyjną twarz... Wydaje mi się żywa, tylko uspiona... Wołam ją po imieniu, najtkliwszemi budzę zaklęciami, pewny, że głos mój ją ożywi“...

Romeo, nowy Romeo! I scena z aktu 3-go w grobowcu, dosłownie:

Juljo, kochanko...  
 Śmierć co wysysa miód z twojego łona  
 Wdzięków twych zatrzeć nie zdołała jeszcze  
 Nie jesteś jeszcze zwyciężoną... Karmin  
 Ten sztandar wdzięków nie przestał powiewać  
 Na twych licach...

Lecz koniec inny. Polska Giulietta umarła na prawdę:

„W szale rozpaczy przytknąłem usta do jej ust., I wtedy pojąłem,  
 co to jest śmierć“... Omdlonego wyniesiono naza-  
 jutrz z katakumb, a legendy o romantycznym  
 zdarzeniu, o pięknej Julji, którą  
 Romeo kochał aż za grób  
 przetrwała po-  
 kolenia.





VIII.

*Salusia śpiewaczka*

*Królowo! której świat równej niema  
Krew ci i cnota szczęśliwość dały  
Piękności winnaś to djadema  
W niej Twój świat cały!*

Rkp. Czart. nr. 938.





*Litografija J. Somtaga*

Salomea Deszner  
(† 1803)







J. B. Norblin

Projekt kurtyny

**S**ALUSIA Deszner nie miała szczęścia. Zawiść i jadowite obmówki rywalek truły jej życie, łamały talent, odbierały słodycz sukcesom. A nie myślcie że ten wstępny wierszyk o djademie dla niej był pisany. Nie dla niej, dla jej rywalki panny Sitańskiej! *Helas!* Tamta bowiem była królową, „której świat równej niema“, i Truskolawska była królową i Sierakowska, lecz nigdy Salusia, córka tapicera.

Zawody koło przekonanie, że jest artystką. Wątpliwa pociecha, gorzki los! Jej koleżanki Skurczyńskiej nawet pochować po chrześcijańsku nie chciano, aby zaś sięgnąć po laury miłosne p. Truskolawskiej na to p. Salusia zamało miała „pieszczącej wymowy i pozycji ciała szykownej“. I nigdy żaden ks. podkomorzy nie kupił dla niej wanny, „takowej pachnącej!“

Wogóle Warszawa stanisławowska nie miała miejsca w *sociecie* dla aktorki. Tem mniej — o dziwo — dla kurtyzanny. Ten lord angielski, który w Londynie wszedł do łoży z kokotą Kitty Fisher, nie mógłby się pokazać na Nowym Świecie. Bo jeśli o kurtyzannę idzie, to przecież jest ich dość w najwyższem towarzystwie. Na aktorki zaś zwraca się uwagę tylko wtedy, jeśli przyjeżdżają do garderoby w her-

bowych karocach, jeśli grają na teatrum w Siedlcach, Łańcucie, czy Białym Stoku.



Nap. Leon Orda

Pałac w Białym Stoku

Z Białego Stoku właśnie wywodziła się Salusia. Była córką tapicera u J. O. Pani Krakowskiej. Jej wejście w życie było śliczne, prawie z bajki. Siedziało raz biedactwo, kopciuszek, nad krosienkami w gotowni p. hetmanowej i haftowało kwiaty, pilnie, cierpliwie, „sposobem hatłaskowym“. Wtem wchodzi w gotownię brat hetmanowej — król, który właśnie przybył do Białego Stoku w odwiedziny. Widzi krosienka, kwiaty, miłą buzię. Rzuca dziewczęciu jakieś dobre słowo. Zarumieniła się i dygnęła, a ta „podchlebna pochwała zapaliła w młodem sercu ochotę do pracy“. Wróciwszy do panińskiej izby kopciuszek przez noc całą oka nie zmrużył, łóżeczko stało nieruszone. Nazajutrz rano zaś król Jegomość otrzymał wraz z kawą najpoddane *cadeau*: ekranik przesliczny, na którym przez noc wyhaftowała się cyfra najjaśniejsza S. A. R. w wieńcu jedwabnych róż. W tydzień później Salusia Deszner była już w Warszawie w teatrze Ryksa. Zauważono, że nie tylko haftuje przeslicznie, lecz i śpiewa mile. Została śpiewaczką.

W gmachu opery polskiej powinien stanąć jej pomnik. Była bowiem pierwszą polską primadonną w pierwszej polskiej operze! Innemi słowy: odśpiewała z wielką tremą partję Kasi w „Nędzy uszczę-





J. K. Plersch (1732—1817)

Projekt dekoracji teatralnej.

śliwionej“ Kamińskiego. Jej debiut był zarazem debiutem opery polskiej! „A chociaż głos wydał się nieco ostry, umiała łagodzić resztę piękną postacią, żywością gry i wdziękami młodości“. Tak wyrokuje ten, który „grał i grających na czas długi tworzył“ — Bogusławski. Wziął ją w opiekę i kierownictwo. Występowała w „Bednarzu“, w „Dwóch strzelcach“, w „Kowalu“ i w „Dwóch skąpcach“, śpiewała w „Cudzie mniemanym“ Bogusławskiego tę figlarną, zawsze oklaskiwaną piosenkę Basi:



*Scena operowa w salonie francuskim*

rzy widzów kiedy w akcie IV-tym zaklinała Walerego:

Raz na pniu między dębami  
Gdzie siedząc w parze turkawki  
Dla jakowejś zabawki  
Trzepotały się skrzydłami...

Patrząc na to ich ruszanie  
Taka mnie lubość przejęła.  
Żem słodko Stasia ścisnęła  
I stąd się wszczęło kochanie!

Cichutki był głosik panny Salusi i ciche sukcesy, których jej mimo to pozazdrościła Sitańska. Potem przeszła do dramatu, gdzie ją znowu zaćmiewała Truskolawska. Dla jakowejś zabawki.

Gdy Stanisław Trembecki wystawił swego „Syna Marnotrawnego“ — Salusia z Białego Stoku objęła dużą i wielce dramatyczną rolę Elżuni. Musiały damy bić brawo na teatrum, kiedy mówiła do Klimunta:

Co do kochania, to jest rzecz osobna.  
Wewnętrznym poruszeniem  
rządzić niepodobna.  
Los nasz jest z całą resztą  
mężowi oddany  
Lecz niech sobie zasłuży, aby  
był kochany.

A znowu czuła łąza bólu kapąca z pudrowanych twarzy



I jakże nieszczęśniku! czy mogę dać wiarę  
 Że w tem sercu zmiękczonem od przykrości młota  
 Z. tak wielu się przypadków narodziła cnota?

Wszystkie te sukcesy nie na wiele się przydały. Córka tapicera z Białego Stoku i pierwsza primadonna opery polskiej nie zrobiła kariery. Ani na scenie, ani w życiu. „Dla jakowejś zabawki“ wygryziono ją z teatrów króla Jegomości. Grywała już bez zapału we Lwowie i Grodnie, gdzie też w roku 1803 żyć przestała. Pani wytworna? W odniesieniu do Salusi Desznerówny to brzmi aż złośliwie. Mogła nią zostać wszędzie ale nie w Polsce stanisławowskiej. „Naiwne role amantek i charakterystycznych subretek z niepospolitym wystawiła talentem. I bez podchlebstwa można jej przyznać pierwszej po Truskolawskiej aktorki nazwisko“. Po Truskolawskiej, w tem właśnie była tragedia życia i talentu Salusi, której postać i wizerunek ochronił od niepamięci Wojciech Bogusławski.





IX.

*Pani Rajecka*

*Jam z Krasic Krasicki*  
*Tys Rajecka z Rajec*

. . . . .

Czterowiersz z wieku XVIII-go







„Lato“

*Galerja Potockich w Łancucie*

Anna Rajecka  
(† 1832)





M. Bacciarelli (1731—1818)

Scena w malarni króla Imci

**D**O PIĘCIU wiekach nauki odważyła się wreszcie. Trochę późno! Bo zważmy: Od XIII-go stulecia ślęczy w celi klasztornej, mówi pacierze, boi się diabła, haftuje, maluje. I dumna jest z swej pracowitości. Matka Mortęska, ksieni Benedyktynek w XVI wieku zapewnia nas, że w wszystkich podległych jej władzy konwentach wielkopolskich siostrzyczki „ustawnie zajęte haftarstwem, jakoż i malaturą“. Przez pięćset lat miała kobieta polska czas i sposobność do pracy, więcej go miała, niżli ciężkoręki brat szlchcic, zajęty pod Cecorą, Chocimem, Kircholmem. Lecz wielu rzeczy brakło. Najpierw łaski talentu. Pięć wieków malowania klasztornego nie wydały ani jednej, pomysleć, ani jednej artystki! Potem niestało odwagi i mody. Dlatego historia jagiellońska nie zapisuje chociażby jednego nazwiska malującej białogłowy. Moda przyszła dopiero teraz. W epoce stanisławowskiej nie wypadało nie umieć malo-



wać! Damy wytworne śniły o laurach Angeliki Kaufman, pani Vigée Lebrun. Portret, i to dobry portret, stał się tak nieodłączną częścią krajobrazu życia, jak peruka, lub „pajęczy Indów szal“. Jakże znamienny



*Akwarela Aleksandry z Tyszkiewiczów Potockiej*

jest np. postępek Kajetana Miączyńskiego. Ośławiony karciarz, łotr i zdrajca wezwany zostaje w r. 1794 przed sąd rewolucyjny. Dowiedziawszy się o tem posyła Kołłątajowi swój portret malowany przez boską Angelikę Kaufman z listem następującym: „Przewiduję, że sąd, nie mogąc mnie żywcem dostać przyczepi moją facjatę do szubienicy. Posyłam rzeźto W. Panu konterfekt mój, nietylko podobny, ale pochlebiony, abym się przed publicznością nie pokazał w bohomazie“.

Namnożyło się tego nagle za rządów króla Stasia: Sztycharek, akwaforcistek, akwatincistek, miniaturzystek, akwarelistek. Ryły w drzewie i miedzi, malowały

na papierze, pergaminie, porcelanie i słoniowej kości. Najwyżej urodzone damy, przynajpierwsze komtessy biorą lekcje u mistrzów warszawskich. Godzina przy sztalugach dueń jest tak ważną i modną, jak próba kapelusza u p. Łazarewiczowej. Chodowiecki, Marteau, Albert-randy, nawet Norblin z zapalem udzielają tajemnic przyjemnej, zdawałoby się, sztuki malowania. Sprytny i wiecznie łasy na dukaty Norblin przyjmuje tylko damy najwyższego stempla: Krzysia Radziwiłłówna, trzy córki Sewerynowej Potockiej, ks. Marja Wirtemberska to jego uczennice. Boże Rafaela, Rembrandta i Van Dycka zmiłuj się nad nami!

W każdym razie jest to dobry pretekst wojażu w ciepłe kraje. Beata Czacka († 1824.) uczyła się w Rzymie u Landrego. Malowała wszystko:

wielkie kompozycje, obrazy religijne, parę tuzinów portretów. Siostry rodzone i stryjeczne, wujaszki, ciotusie i przyjaciele męża musieli radzi, nie radzi, pozować. Jej córka, pani Stecka, poświęcała się namiętnie akwareli, jej kuzynka Kunegunda Czacka psuła z zapalem miedź i porcelanę. Po matce odziedziczyła... talent Szczęsnowa Potocka, pracująca lata całe nad portretem św. Filipa Nerjusza do kolan, „dzieło w sposobie wyższym“. Nawet rajfurka i kabalarka pani Lhulier trudniła się malaturą niejakich minjatur. A wszystkie wzdychały z Niemcewiczem:

Norblain! Gdybym Twój pędzel lekki i przyjemny  
Miała: malowałabym las głuchy i ciemny  
I te skały wyniosłe, których wody czyste  
Wieszają na powietrzu pasma przezroczyście!

Maestro Bacciarelli nie brał tego wszystkiego zbyt serjo. Miał dosyć artystek w domu, bo i żonę i córkę. Dlatego bardzo niechętnie — w przeciwieństwie do Norblina — tolerował białogłowy w malarni królewskiej. I właśnie ze szkoły tego antyfeministy wyszedł jedyny i pierwszy talent kobiecy: Rajeczka!

Podobno to ta sama, która z biskupami i Trembeckim kleiła nieprzyzwoite wierszyki i sprośne ucinki, znane w całej Rzeczypospolitej.

Wszelako w technice malarskiej okazała więcej idealizmu. „Posiadała dar wybornego trafiania podobieństw, a przejęła się rodzajem Greuze'a“. (Rastawiecki). Najpierw uczył dziewczynkę Marteau, potem zajął się nią Bacciarelli, a na rozwijający się już, nieprzeciętny i niekobiecy, talent zwrócił uwagę król. Wyjechała za granicę, brała pensję, dla siebie, brata i męża, bo wyszła za mąż za malarza. Umarła we Francji († 1832).

Jej miniatura królewska, wielokroć kopiowana, należała do najbardziej lubianych. Portretowała Sułkowską, Branicką, Sapieżankę, Bohomolca i Ossolińskiego. *Chef d'oeuvre'm* jej są cztery pastele, cztery pory roku w postaciach kobiet. Podobno „lato“ jest autoportretem. Suknia dekolowana *à la grecque*, duży bukiet z kłosów i polnego kwiecia. Jeśli to istotnie ona, to była piękną, ta pierwsza i jedyna chyba w tłumie dyletantek artystka — „Rajeczka z Rajec“.





X.

## *Generałowa Grabowska*

*Czy w faraona czy w tryszaka  
Nie wiem, w co grają bogowie,  
Wiem jednak, że jest kobieta taka  
Która ich grą się zowie!*

Szambelan Łącki.





J. B. Norblin

Spektakl w Łazienkach

**D**O ROGATEK czerniakowskich zbliża się pędem kareta zamkowa, za którą dwie bryki ładowne ledwie nadążą. Już prawie dojeżdżają, gdy wtem dogania i przesciga karete jakiś szaraczkowy *nequam* w rogatywce, przy szabli i krucicy, na lichym cwałujący koniku. Dopada pierwszy szlabanu i żywo rozprawia z celnikami, którzy go słuchają w uniżonej postawie. Rzecz dzieje się 15 maja 1794 w dniach „gniewu ludu“, nazajutrz po egzekucjach Ankwicza i towarzyszy. Ten *nequam* szaraczkowy przy szlabanie czerniakowskim, to był pan szewc Kiliński, zaś w karecie dworskiej miała uciec zagranicę małżonka króla Iłmci, generałowa Grabowska.

Z rozkazu króla, postanowiła za wszelką cenę wyniknąć się z Warszawy w towarzystwie p. Chodkiewiczowej, atoli pan Kiliński, prezes komisji kwaternicznej i paszportowej, ani słyszeć nie chciał o podpisaniu przepustki. „Lecz te dwie damy — tak żali się w pamiętnikach — udały się do Rady: to wyrobiły sobie, że im kazała paszporta wydać. Ale ja doniosłem Radzie, że te dwie damy z kraju wypuszczać nie można i że one wywiozą niemało skarbów z kraju naszego. Lecz Rada nakazała mi wydać koniecznie paszporta i to bez żadnej eksepccji“. Uparty szewc-pułkownik nie dał jednak za wygraną i popędził na rogatki.





*Przedstawienie w teatrze królewskim.*

*Pierwsza na 1-szem piętrze tzn. „łóża mała”, do której wstęp miała wyłącznie generałowa Grabowska*



*Elzbieta z Szydłowskich Grabowska*

(„I tam przykazałem rewizorom, aby jak najsurowiej rewidowane były“.)  
Rewizorzy spełnili rozkaz komendanta i cóż się pokazało? Oto obie damy opakowane były klejnotami, w sukniach zaś, które z nich zdjęto miały zaszyte brylanty, wartości sześciu milionów złotych. Ponadto w brykach były sprytnie wydrążone schowki, pełne dukatów i kosztowności. „Kazałem wszystko na ratusz zwieść... A przekonawszy Radę o tem, że źle robią, wyszedłem z ratusza zagniewany, gdyż Rada bogatych wypuszczać kazała, a hołyszów gołych zostawiano“... kończy z goryczą pan Kiliński.



Pani Grabowska wiedziała dobrze, czemu tak spiesznie ucieka. Bo właściwie, na dobrą sprawę, powinna była stanąć przed sądem pospołu z Ankwiczem i Kossakowskim. Podobno istniał nawet pierwotnie taki zamiar. Dobry pan Kościuszko źle zrobił, nie nakazawszy aresztowania kobiety, której usługi nabywał każdy dyplomata rosyjski z łatwością za cenę maneli z szafirami. Akces króla do Targowicy był też w dużej mierze dziełem p. Elzusi, której wpływ na majestat doszedł w tym czasie do zenitu, a wierszyki rozrzucone po mieście głośiły:

„Jedno hasło dla niego jest: Opatrzność boska  
Całą radą Chreptowicz i pani Grabowska!“

I bez niej przysłoby do akcesu. Nie trzeba było zbyt długo przekonywać króla, aby wycofał się z awantury majowej i poszedł do Canossy. Gdybyż przynajmniej uniała intrygować w wielkim stylu na miarę Ninony Lenclos lub markizy de Pompadour, gdybyż okazała się indywidualnością, o którejby można powiedzieć to, co rzekł Mirabeau o Marii Antoninie: „Król francuski ma tylko jednego męża przy sobie, a tym jest jego żona“, gdybyż była królowi wierną do ostatka, a nie była, bo o flircie z Walerjanem Zubowem mówiono powszechnie! Gdybyż...

Tymczasem żona króla Jegomości okazała się zwyczajną i przeciętną, zachłanną na grosz, na szmatki trusią. Despotyczna wobec słabych i uległych sobie, pokorna i trwożliwa wobec tych, którzy ją brali z góry. Mało udzielająca się, dziwnie nielubiana. Ulica Warszawy nazwała ją „karą boską“, a strzał dany do Michała Grabowskiego na Nowym Świecie w dniach powstania był wywołany nienawiścią do matki.

Już wprawdzie starym czuł się i zmęczonym Stanisław August, gdy uległ jej wpływowi, lecz mimo to, pojąć trudno, jakim cudem, ta wcale przeciętna, ani piękna, ani sprytna, a leniwa i tępa kobiecina potrafiła ostać się i uniknąć tych wszystkich sideł i intryg zastawianych czy to przez familję, czy przez panią Krakowską i podkomorzego i biskupa Kossakowskiego, jak wreszcie umiała odparować zatrute cięcia wszystkich zazdrosnych rywalek od awanturnicy Lulierki zacząwszy, poprzez Sapieżyny i Potockie, a na księżnej kurlandzkiej skończywszy?

Aktywna rola polityczna p. generałowej zaczyna się dopiero od upadku Konstytucji 3 Maja. Mało rozumiejąc, o co chodzi, powtarzała jak papuga za ambasadorem, że ustawa majowa jest farsą, że król nie powinien był żadną miarą wdawać się w tę „wojnę dwóch Potockich“ *car ce n'était pas autre chose qu'une guerre du parti*. Znany jest też ów





J. B. Piersch (1732—1810)

Przyjazd St. Augusta do Grodna

czuły list do króla z 8 sierpnia 1792, ubóstwiający go za akces do Targowicy, przez co „zatomowany został wylew krwi niewinnej“.

Jej przywiązanie do Rosji było szczerze i wielkie. Ambasadorzy umieli je potęgować terrorem i prezentami. Za Targowicę otrzymała od Bułhakowa cudowne szafiry, później ten sam efekt wywierały pogroźki, że króla czeka los Ludwika, a komu innemu los p. Dubarry.

W Grodnie i Petersburgu używano jej stale do wymuszania na królu zgody na wszystkie najbardziej upokarzające żądania. Ilekroć zabłysła u króla jakaś ostatnia iskra ambicji lub dumy osobistej, posyłano p.

Grabowską, aby ją gasiła. Smutne władztwo „kary boskiej“

skończyło się wraz z dworem Stanisława Augusta. Rzecz

nie do wiary, ale król zapomniał o swej żonie w te-

stamencie. Pod rokiem 1806 notuje pułkownik

Gajewski w swym pamiętniku: „Pani Gra-

bowska jest dowcipna i wesoła. Opo-

wiada rozmaite szczegóły o królu

i dworze. Podupadła na ma-

jątku, i chętnie przyj-

muje obiad, gdy

ją zaproszą“.



*Miniatura pani Grabowskiej.*

XI.

*Podlotki, tych pań córeczki*

... Mito na słodki widok obrócić zrenucę  
Na tę w pierwotnym kwiecie niewinną dziewicę  
Jak róża barwą, łzami jutrzeńki zroszoną  
Gdy przed słońca światłością otwiera swe łono  
A nieśmiała za każdym zęfira dotknięciem  
Pali liście i żywem zachodzi sploteniem  
Tak się w dziewicy lube rozwijają wdzięki  
I źródło czucia przyszłych rozkoszy i męki!

J. U. Niemcewicz (1798).







*J. B. Grassi*

*Galerja M. X. Radziwiłłowej w Warszawie*

Izabella Grabowska  
(1778—1830)







J. B. Norblin

Menuet w ogrodzie

**M**ILADY Craven, wróciwszy z podróży po Polsce, rozpowiadała Anglikom różne dziwy o zwyczajach, jakie panują w tymże dzikim kraju. Zapewniała np., że matrony polskie, bojąc się bardzo o cnotę swych córeczek, uwieszają im na szyjkach dzwoneczki, aby słychać było, ilekroć panna wybiegnie z domu niepostrzeżenie.

Wiadomo, że w rzeczywistości działo się wprost przeciwnie. Damy stanisławowskie, rozpierane do siwego włosa ambicjami erotycznymi, miały zbyt wiele arcyważnych kłopotów, aby jeszcze martwić się mogły wychowaniem swych córek. Toteż dziewczątka rosły samopas w atmosferze swobodnej, w powietrzu pachnącem i zatrutem.

Wychowywała dziewczątka guwernantka francuska, której wiek nie pozwalał już być heterą, uzupełniał edukację salon modniarski panny Łazarewicz, oraz „balik dziecinny“, przyjemna nowość epoki, ulubione miejsce schadzki adonisów z mamusiami. Poza tem panny matek prawie nie widywały. Marszałkowa Lubomirska doznawała spazmów na widok swych córek. Sewerynowa Potocka zamącała życie swym trzem pociechom w sposób wyszukany.

Córki niemoralnych i lekkomyślnych mamusieczek przeszły wszelako twardą szkołę moralną. Nad kołyską ich stało, jakże często, widmo jadowitej plotki i kładło się potem ponurym cieniem na drodze życia. Czasem poeta niektóry załamał ręce:



J. B. Greuze      Zofia z Czartoryskich Zamoyska

Wszystkie narody ochrzczone czyli obrzezane  
Pod bezecnej potwarzy władzę są oddane.  
Muszą na sobie nosić jej ustawy krwawe,  
Bo sobie za stolicę obrała Warszawę!

Więc stąd brała swe źródło prze-  
smutna i posepna melancholja nie-  
jednej z dziewcząt, stąd pustelniczy  
tryb życia u niektórych, lub arcy-  
przykładne później życie małżeńskie.  
„Uważały się, mówi St. Fois, za ofiarę  
gniewu Bożego, dźwigającą na swych  
barkach brzemień niegodziwości oj-  
ców“. Jakże znamienitym typem jest  
n. p. owo smutne dziecię miłości,  
śliczna panna bez nazwiska, zwana  
Cecylją Beydale, nieszczęśliwie do  
końca życia rozkochana w swym  
bracie przyrodnim ks. Konstantym

Czartoryskim. I może dlatego nauczyły się często różnych rzeczy, których  
nie dostawało rodzicom. Wyrosły inne. Mamusiom na przekór, historii  
na pociechę. Typ kobiecy zmienił się teraz do gruntu. Córka swawolnej  
kobietki wyrosła na wzorową żonę i matkę, pielęgnującą wszystkie  
cnoty domowego ogniska. Najpiękniejsza z kobiet w epoce empire'u  
była zarazem najcnotliwszą (Zofja z Czartoryskich Zamoyska), najmądr-  
zejsza wiodła żywot klasztorny (ks. Marja Wirtemberska), przesliczna  
córka pani Grabowskiej słynęła ze skromności, słodczy i „małego trzy-  
mania o sobie“.

Nieco innym tonem i sposobem mówić będą o nich wkrótce ludzie  
na świecie. Użyją określeń, zakrawających do niedawna na *mauvais genre*.

„...Oto jedna z tych istot wyjątkowych, które nawet w umysłach  
wątpiących obudzają wiarę w godność i szlachetność natury ludzkiej“—  
pisze nieskory do zachwyków człowiek o Zofji Zamoyskiej. „Harmonja  
wszystkich zalet i przymiotów tworzyła całość tak doskonałą, iż śmiało  
ją nazwać można było żyjącem arcydziełem!“ Dodać warto, że dotyczą  
wszystkie te surperlatywy kobiety, którą malował Greuze i Gerard,  
Vigée Lebrun, Füger, Isabey, przed którą klękały na kongresie wie-  
deńskim króle i cesarze Europy.

Albo inna: „...Była o kilka lat starszą odemnie. Łączyła w sobie  
tyle skromności i pokory, że nie sposób nawet było zadrościć jej. Czułam





*W. Leseur (1745-1813)*

*Mme Lazarewicz, modniarka*



*J. Grassi (1757 - 1838)**Zofia z Czartoryskich Zamojska*

się lepszą po każdej rozmowie z nią, bo dusza jej nadawała wszystkiemu czar wzniosłości i czystości. Na jej sercu składałam swe troski, nadzieje i smutki“.

Na taką to kobietę wyrosła Izia, ukochana córka generałowej Grabowskiej i tak charakteryzuje, arcytrzeźwa, nieskłonna do egzaltacji Anna Potocka swą przyjaciółką, późniejszą p. Walentową Sobolewską, która mimo terroru matki nie chciała wyjść za obrzydliwego choć pięknego Walerjana Zubowa, a potem, jedna z niewielu Warszawianek, oparła się atakom generałów napoleońskich.

Nie wszystkie, naturalnie. Bo ileż było takich, które niczego się nie nauczywszy i o niczem nie zapomniawszy, wyrosły jako nieodrodne

latorośle rokokowej grzędę. Wystarczy choćby wskazać nieznośną, zarozumiałą i do szpiku kości wynarodowioną jedynaczkę Różyczki z Czarnobyli, czy potworną Naryszkinę z domu Czetwertyńską, czy wreszcie nie lepszą od matki córkę marszałkowej Lubomirskiej, żonę emira Rzewuskiego.

Lecz jedna jest postać dziewczęcia, może najmiłsza ze wszystkich, w której, jak w żadnej innej, wyraziło się uroczo smutne piękno i przejmująca dramatyczność losu.

Krzysia Radziwiłłówna, ukochana córka uwielbianej westalki z Arkadii, której radosne życie, rozkołysane wdzięcznym rytmem Mozartowskiego menueta, skończyło się nagle akordem *funèbre!*.

Przyszła na świat prawie razem z modną piosenką o Krzysiu, która „wszystko będzie miała, byle tylko sama chciała“. Panna Duhoux d’Affincourt zastępowała jej matkę, Vestris uczył ją kontredansa, Manarelli gry na gitarze, Norblin malowania „guaszą“.

Maman arkadyjska chciała z niej mieć królowę, koniecznie królowę, a już co najmniej żonę falcgraфа, kronprinca lub jakiegoś udzielnego władcy. W wielkim tygodniu 1792 roku weszła po raz pierwszy w świat na kweście warszawskiej, a wkrótce potem lornetował ją dwór saski (ten sam dwór, na którym ongi błyszczała Amalja z Brühlów). Zgodzono się, że kolorek jej cery jest olśniewający i fenomenalny, prawie zbliżony do najwyższego ideału epoki. (Ten ideał barwy rokokowej był, jak wiadomo, nieco skomplikowany: *cuisse d’une nymphe émue*, odcięci uduka nimfy wzruszonej).

Sam król pruski, odwiedziwszy Arkadię, „wychwalał Krystynkę we wszystkim, a mianowicie we wdziękach tańcowania i patrząc na kontredansa mówił, iż chciałby, aby pruskie damy widziały, jak polskie tańczą“. Lecz roztańczona Krzysia nie słyszała, co o niej mówią i dobrze, że nie słyszała; bo nie dobiegł był do jej uszu niesmaczny dowcip Nestora Sapięhy, zapisany w pamiętnikach Engestroema.

Wyfrunąwszy w świat odnosi Krzysia na parkietach dworu saskiego świetną wiktoryję. Dwudziestoletni kronprinc ks. Ludwik pruski pokochał się w niej na zabój. Od pierwszego wejrzenia pokochał się i zaraz potem pojechał na wojnę, albowiem był dzielny żołnierzem. Walcząc ostro pod murami oblężonej Moguncji, pieścił w sercu obrazek olśniewającej dziewczeczki.

Projekt marjażu omawiano szeroko na dworach Europy, uważając, że dzielny książę jest ze wszech miar godny Krystynki, którą już nazywano udzielną księżniczką. „Byle tylko sama chciała“. Ale Krzysia nie

chciała. Ks. Ludwik pruski odniósł ranę pod Moguncją (1793), został zato generałem i jeszcze bardziej kochał księżniczkę.

Wszystko to mało interesowało Krzysię. Nie mogła się cieszyć ani zwycięstwem pod Moguncją, ani miłością Prusaka, gdyż — rzecz dziwna — w tem dziecku arkadyjskiej kosmopolitki biło głośno polskie serce, a to był właśnie wrzesień r. 1793, data niecnego sejmu grodzieńskiego. Zaś gdy wkrótce potem zaprzędana Moskałom mamusienka podążyła nad Nową starać się o łaskę Katarzyny, Krzysia została w Warszawie i z biciem serca czekała na — kosynierów Kościuszki. I doczekała się. W ślad za matką poszedł wkrótce taki list o Raclawicach, list który *maman* z kwaśną zapewne odczytała miną:

„Ach maino, droga mammo! Czyż niema z czego być dumną i szczęśliwą... Od kilku dni mówią o drugim zwycięstwie naszych, mówią, że Kościuszkó idzie na Warszawę. Podał on już raport pierwszej wygranej. Chciałabym, aby go mamezina czytała, co w nim za godność i skromność, ani jednego słowa przesady. Sami Rosjanie to przyznają“.

Wbrew nakazowi rodziców zostały obie z siostrą Anielą w Warszawie, nie bały się insurekcji. Kartacze gwizdały nad pałacem, kula armatnia ugrzęzła w ścianie, za którą kryją się przeleknione dziewczątka. Aż i w ostatnich dniach maja zabrano Krzysię z Warszawy przemocą, pod strażą huzarską. Do Drezna wiezie ją matka dla rozrywki, bo była przygnębiona i dla kuracji, bo była blada i wątła. „Wszystko Krzysiu będziesz miała, byleś tylko sama chciała“. Jakoś nie wszystko, ona bowiem chciała zostać w Warszawie i doczekać się ostatecznego zwycięstwa.

Jechały z dworem całym w kilka pojazdów, w sześć ładownych wozów, z sypialnią, kuchnią, gotowalnią, nawet biblioteką, bo niewiadomo na jak długo.

Droga wiodła z Przygodzic na Olesnicę, ku granicy śląskiej. Wtem, tuż nad granicą, obskoczą ich powstańcy. Starcie z pachołami i huzarami cwałującymi przy karetach. *Quelle affreuse affaire!* Na starej kochanicy ambasadorów cierpnie skóra. Przeczuwa wszystko najgorsze i też wszystko najgorsze było możliwe.

Obie z matką aresztowane. Wozy ładowne poddane surowej rewizji. Żołnierze kościuszkowscy plądrują w najlepsze w książących walizach, *necessaire*'ach. Szukają dokumentów zdrady. Wiadomo bowiem kto jedzie: magnatka zaprzędana całą duszą Rosji. Wśród mnóstwa rozrzuconych drobiazgów wpada im w rękę safianowe, kosztowne album





Lescor J. (1745—1813)  
(kopia z Grassi'ego)

Krystyna Radziwiłłówna



Szkoła Bucciarellego

Portret młodej damy

czony na chorągwi obnoszono po całym obozie wśród rześistych okrzyków: Wiwat Krystyna! Uratowała matkę, siebie i dobytek. Pół żywa ze strachu kochanica ambasadorów rosyjskich odetchnęła i odzyskała kontenans. Kłaniając się, dziękując, wśród okrzyków salutującego oddziału odjechała ku granicy bezpieczna z córką i gratami.

Znowu Drezno, ale już bez rycerza, który odniósł ranę pod Munguncją. Krzysia spostrzegła nagle, że go wcale nie kocha, a spostrzegła to w chwili, gdy na salonach mamusi pojawił się cudny jak marzenie młodzian, w którego pióropuszcach i szamerunkach, w atłasach haftowanych złotem i fioletowem i astrami lśniły wszystkie odcienie tęczy i wszystkie barwy pawiego ogona. Był to señor Don Quinonez, ambasador króla Hiszpanji na dworze saskim. Mężczyźni wieku XVIII-tego ubierali się kolorowo, jak kobiety, lecz od najbarwniejszego fircyka barwniejszym był ambasador w paradnym uniformie, a znów wszystkich

westalki z Nieborowa. Rewizja albumu. Z pomiędzy złożonych, napachnionych kart wypada na ziemię rysunek. Tym właśnie gwaszem rysowany, którego ongi uczył dziewczeczkę pan Norblin. Rysunek przedstawia — Tadeusza Kościuszkę! U spodu podpis: *Christine*. To właśnie Krzysia nakreśliła na pamiątkę dla matki profil ukochanego przez siebie (tylko przez siebie!) bohatera z perkatym noskiem. Kto to jest ta Krystyna? pytają zadziwieni towarzysze chorągwi narodowej. Krzysia wychyla się z karety: To ja! Momentalna zmiana nastroju. Portrecik Naczelnika, umiesz-





*Szkoła Bacciarellego*

*Aniela Radziwiłłówna (?)*



ambasadorów zaćmiewał polichromją poseł hiszpański, w Polsce senor d'Aranda, w Saksonji don Quinonez. Przysłano go do Drezna, aby starał się o rękę infantki polskiej dla księcia Asturji. Ujrzawszy Krzysię, zapomniał don Quinonez o swej misji i zamiast prowadzić rokowania o infantkę w imieniu księcia Asturji, oświadczył się sam o córkę Radziwiłła.

Lecz człowiek o młodźwiecznym nazwisku i najbarwniejszym ubiorze nie zaimponował wcale księciu-papie. Gdyby o samego księcia Asturji chodziło, namyślałby się bardzo, a cóż dopiero jakis jego pośrednik. Aktualnie dlatego uważali Radziwiłłowie ten marjaż za wykluczony, że dopiero co syn ich Antoni zaręczył się z Luizą pruską, która nie mogła przecież być bratową pana de Quinonez. Hiszpan, chociaż wydał się Krzysi nadewszystko *chéri et désire*, dostał rekuzę zimną i stanowczą. Drezno było niepokieszone, damy ubolewały rzewnie nad niedolą Krzysi, która „w swem miłym ułożeniu umiała sobie zjednać sympatję society“.

Luiza pruska, czując, że stoi na przeszkodzie związkowi miłości, zabiegała ze wszystkich sił, aby starego magnata skłonić do zmiany postanowienia. Zapewnia nas o tem sama w swych pamiętnikach. Daremnie. Rekuza, którą otrzymał Hiszpan, stała się głośną w całym oświeconym świecie. Encyklopedysta Grimm wspomina o tem w jednym z listów do Katarzyny II-giej.

Na rozkaz srogiego papy zboląła Krzysia wróciła do pruskiej już Arkadji i miała nad czem płakać. Straciła narzeczonego, straciła Ojczyznę, świeżo bowiem podpisano trzeci rozbiór Polski. Czekala ją podróż do stolicy północy, której więźniem był od niedawna ukochany bohater księżniczki Kościuszko.

Nie w smak poszedł Katarzynie związek Radziwiłłów z Hohenzollernami. Wyfukawszy się więc do syta na uniozoną zawsze wobec tronu westalkę z Arkadji, zawezwała ją najczulszymi słowy do siebie. Niech koniecznie przyjeżdża zaraz nad Newę i to razem z córką, którą „najmiłościwiej mianujemy pierwszą frejliną honorową naszego imperatorskiego dworu“.

Arkadyjska pani wzięła tę nominację jako wielki akt łaski, winnowała sobie tego zaszczytnego sukcesu Krzysi i oblała go słodkimi łzami radości. Nie było naturalnie mowy ani o jednym ani o drugim. Katarzyna zawezwała Krzysię do siebie poprostu dlatego, aby jej nie wypuścić z rąk. Wściekła była o małżeństwo ks. Antoniego z Hohenzollernówną, bała się, że i Krystynę wydadzą także za jakiego kronprinca, albo też przewróci jej do reszty w głowie szalona irredenta polska.

Tu zaś wypłoszy się pannie z głowy kościuszkowskie egzaltacje i wychowa na wierną, jak *maman*, adherentkę Petersburga.

Jeszcze Krzysia spojrziała po raz ostatni w oblicze zgnębionego Stanisława Augusta w Grodnie, jeszcze wytańczyła się na weselu brata, ubrana w najdroższą toaletę, jaką najpierwszy w Europie krawiec, *Cortet et fils* w Lyonie stworzyć potrafił (batyst *linon* z girlandami kwiatów, na tem tunika turecka haftowana drogiemi kamieniami i girlandami róż) poczem zagarnął ją Petersburg.

Było to u schyłku roku 1795-tego, w miesiąc po abdykacji St. Augusta i ostatnim rozbiornie. Pierwsza frejlina honorowa dworu cesarskiego nie miała czasu myśleć, nie miała przed kim płakać. Otłuszczona, rozpasana i ciągle jeszcze chora na „satyriasis“ impieratrica przypominała jej do złudzenia starą wiedźmę z kraju Hotentotów, którego opis czytała zapewne w *Bibliothèque universelle des dames*.

Obowiązki pierwszej frejliny były liczne, monotonne i nużące. Warszawskie przyjaciółki Krzysi, Izia Grabowska i Monika Sobolewska wkrótce dowiedziały się o tem z jej listu: „...te wieczory, te przyjęcia! W kółko jedno i to samo. Przychodzi się, rozmawia śmieje się, nudzi, potem zjada kolację i jedzie do domu. Szczególne w tem wszystkim jest tylko to, że ja właśnie jestem frejliną honorową (*demoiselle d'honneur*), która stale przebywa u dworu i musi dźwigać ciężar wszystkich



Grassi J. (1758—1838)

Portret nieznaney.

reprezentacyj, zawsze pierwsza prowadzona do stołu i sadowiona na najpierwszem miejscu. Na koncert czy widowisko zawsze mnie się dostaje najlepsze miejsce, nawet przed Matką i byłoby wielkiem uchybieniem bronić się przed tem lub ustępować. Wszelako zaczynam się już przyzwyczajając“.

A teraz rozkład zajęć Krzysi:

„O 11 tej zrana już jestem gotowa *en robe du cour*, i — wyobraź sobie — jadę samiotka jedna sześciokonna landarą w towarzystwie dwóch pokojówek. Potem muszę przejść wszystkie korytarze pałacu, aby dostać się do naszej mistrzyni. Potem w komplecie idziemy na salony. Widziałam niedawno Walerjana Zubowa, który jest bardzo interesujący z tą swoją drewnianą nogą“.

O 2-giej obiad u stołu cesarzowej. Po prawej ręce imperatorowej siedzi Platon Zubow, albowiem to jest jego epoka, epoka ostatniego faworyta rozpustnicy (1792—1797). Niewiadomo, jak należy mówić przy stole, gdyż chorą na histerję ucha Katarzynę doprowadzą do pasji raz głośna raz znów cicha rozmowa. Nadmiernie umalowana, zmarszczona jak gąbka, monarchini zjada swą ulubioną potrawę „sztukamię“ z ogórkiem i popija wodą z ukochanym sokiem porzeczkowym. Obyczaj przy stole surowy, purytański. Katarzyna II-ga dba wielce o cnotę swych panien honorowych. Jest wstydliwą i przesadnie skromną w rozmowie, jak wszystkie rozpustnice. Admirala Johnsa, który ubliżył jakiejś frejlinie, posyła odrazu w „duraki“. Krzysia nie zna wielu tajemnic pałacu taurydzkiego. Panny honorowe nie mają wstępu do sypialni carycy, ze względu na treść rozpustnych obrazów; nie wiedzą po co tam tyle luster, a też nie mają pojęcia o tych sympozjach, jakie się tam odbywają w małym kółeczku pod osobistą komendą Katarzyny.

Naogół niewola petersburska nie jest ciężką. Dwór olśnił pannę, ale i panna olśniła dwór. Żaden spacer, żadna gra towarzyska nie da się bez Krzysi pomyśleć. Wielcy książęta przepadają za jej towarzystwem. Kokietuje z lekką młodziutkiego ks. Adama Czartoryskiego, wywija kozaka z przyszłym Aleksandrem I-szym. Czasem jedenaście tur menueta wypadnie przetańczyć wśród oklasków w Carskiem Siole. *A Carskoje Sielo on s'amuse à merveille!* pisze roztańczona Krzysia do Warszawy.

W tym samym i w tem samym mieście siedział już od roku w twierdzy z obandażowaną głową i niezgojonemi ranami więzień imperatorowej — Kościuszko. Zapewne myślała o nim czasem jego entuzjastyczna ongiś wielbicielka, teraz rosyjska frejlina honorowa...

15 listopada 1796 roku rano wierny kozak Katarzyny Zachara,



wszedłszy do wygodki, w której monarchini zbyt długo się zatrzymała, wyniósł ją stamtąd na rękach konającą. Przez trzy dni umierała. Platon Zubow biegł przerażony z rozczochranymi włosami. Frejliny dworskie z Krzysią na czele straciły głowę. „Dostaliśmy się z bratem — pisze Adam Czartoryski — aż do pokoju, w którym cesarzowa leżała bez życia, rozciągnięta na materacach, chrapiąca śmiertelnie, jak machina, której ruch ustaje“. Umarła nareszcie. Przez sześć tygodni, dniem i nocą, wysocy dygnitarze, damy portretowe, kawalerowie przydworni i frejliny honorowe pełniły służbę przy katafalku. Wśród nich Krzysia, bledsza



Galerja wilanowska

Portret młodej damy

niż zawsze, upadająca ze znużenia. Potem pogrzeb. Rząd, dwór i wojsko maszerowało pieszo w dwóch szeregach na drugi koniec miasta. Damy w żałobnych strojach, bez pudru i okrycia na głowach, od świtu do ciemnej nocy marzły na wietrze i mrozie. Ks. Adam Czartoryski zachował pamiątkę tego pogrzebu w postaci odmrożonych na całe życie palców, pierwsza frejlina honorowa miała zapłacić jeszcze więcej. Śmiertelne mrozy owiały delikatną pierś dziewczątka. Nazajurz zachorowała, a do przyjaciółek warszawskich wysłała taki list smutny:... „Życie, sen, który mija, zanim się pomiarkujemy, zanim skorzystamy z chwili!... O jakże bardzo chciałabym wrócić do tych czasów, które spędzaliśmy razem... Ale zdaje mi się, przeczuwam, że nie powrócą już nigdy“. Nad

gasnącem życiem Krzysi czuwali w Petersburgu oboje rodzice bezradni. Zdaje się, że nie doczekała nawet uwolnienia Kościuszki z więzienia. „Zagrobowa ręka — pisze jej prawnik — przywłaszczyła sobie na zawsze tę, która cesarzowej służyć zaczęła. Westalka z Arkadii spłaciła straszny dług Petersburgowi“. Śmierć uroczego dziewczątka dotknęła matkę może i bardzo, ale rokoko oduczyło ludzi nawet szczerego bólu. Więc pocieszyła się rychło projektem mistycznego grobowca pod ołtarzem w Arkadii gdzie spocząć miały prochy Krzysi i jej sióstr, a do safianowej książeczki, tej samej, z której wypadł ongi portrecik Kościuszki, wpisała na cześć córki czuły czworowiersz Parny'ego:

*Ainsi le sourire s'efface,  
Ainsi meurt sans laisser de trace  
Le chant d'un oiseau dans le bois.*

Na tle ostatnich promieni zachodzącego słońca, w leśnym *entourage'u* gasnącego dnia wymalował Grassi księżniczkę, która kochała Kościuszkę i tańczyła menueta na dworze Katarzyny.

W tej postaci i w tym obrazie jest coś jakby symbol epoki, która także skończyła się i zgasła na zawsze. Krystyna Radziwiłłówna, ostatnie, najmłodsze dziecko rokokowych czasów, uosabia potroszę ich smutne i urocze piękno.



*Szkola niemiecka w. XVIII.*

*Scena pasterska.*

## SPIS RZECZY

	Str.
1. SYBILLA Z PUŁAW . . . . .	1
2. JEJ RYWALKA Z ARKADJI . . . . .	17
3. LADY MACBETH Z MARJI MALCZEWSKIEGO . . . . .	29
4. SIOSTRA KSIĘCIA PEPI . . . . .	41
5. RÓŻYCZKA Z CZARNOBYŁA . . . . .	53
6. WARSZAWIANKA . . . . .	67
7. <i>GIULIETTA LA BELLA</i> . . . . .	77
8. SALUSIA ŚPIEWACZKA . . . . .	85
9. PANI RAJECKA . . . . .	93
10. GENERAŁOWA GRABOWSKA . . . . .	99
11. PODLOTKI, TYCH PAŃ CÓRECZKI . . . . .	107



## SPIS RYCIN

### a) na osobnych tablicach

	Str.
I. E. Vigée-Lebrun. (?) Rozalja z Chodkiewiczów Lubomirska. minjatura. (Galerja Czartoryskich w Krakowie). <i>Druk trójbarwny</i> . . . . . [przy tytule]	
II. Cosway-Testolini. Izabella z Flemingów Czartoryska. miedzioryt punktowany. (Muzeum Czapskich w Krakowie). <i>Rotograwjura</i> . . . . .	2
III. Malarz nieznany. Helena z Przedzieckich Radziwiłłowa. Portret olejny (wł. Magd. ks. Radziwiłłowej w Warszawie. fotografia Tow. opieki nad zabytkami przeszłości w Warszawie). <i>Rotograwjura</i> . . . . .	18
IV. Cuneo. Amalja z Brühlów Mniszchowa. Miedzioryt rylcem. (Muzeum Czapskich w Krakowie) <i>Rotograwjura</i> . . . . .	30
V. Sylwetka w ramce Grasmeyera. Teresa z Poniatowskich Tyszkiewiczowa (wedle publikacji: „Tyszkiewicziana“ Poznań 1903). <i>Rotograwjura</i> . . . . .	42
VI. Bernard. Rozalja z Chodkiewiczów Lubomirska. portrecik akwarelowy. (Muzeum Czapskich w Krakowie). <i>Rotograwjura</i> . . . . .	54
VII. Lampi. Barbara z Bielińskich Kossowska. Portret olejny. (Galerja Pawlikowskich w Medyce). Fotogr. E. Trzemeski. <i>Swiatłodruk</i> . . . . .	68
VIII. Lampi. Julja z Lubomirskich Potocka. Fotografował A. Pawlikowski w Krakowie. <i>Rotograwjura</i> . . . . .	78
IX. Salomea Deszner. Litografja J. Sonntaga. <i>Rotograwjura</i> . . . . .	86
X. Anna RajECKA. Lato. (Portret własny?) Galerja Potockich w Łancucie. Fotogr. A. Pawlikowski. <i>Rotograwjura</i> . . . . .	94
XI. Lampi(?) Elzbieta z Szydłowskich Grabowska. minjatura. Galerja Czartoryskich w Krakowie. <i>Druk trójbarwny</i> . . . . .	100
XII. Grassi. Izabella z Grabowskich Sobolewska. Portret olejny własność M. X. Radziwiłłowej w Warszawie. Fotografia Tow. opieki nad zabytkami przeszłości w Warszawie. <i>Rotograwjura</i> . . . . .	108

### b) w tekście

	Str.		Str.
1. Norblin. Kiermasz w Powązkach (fragment z obrazu Galerji Czartoryskich) . . . . .	5	nowskich w Dzikowie. Fot. A. Pawlikowski) . . . . .	5
2. Walerja hr. Tarnowska. Portret I. Czartoryskiej (Galerja Tar-		3. Norblin. Societa w Parku (kliša „Nauki i Sztuki“) . . . . .	6
		4. Norblin. Dziecię pod pomni-	

	Str.		Str.
kiem przeszłości (klisza „Nauki i Sztuki“)	7	20. Decreuze. Pani Dubarry (Muzeum Lubomirskich we Lwowie)	61
5. Le Prince. Izabella Czartoryska (Portrety polskie Mycielskiego)	9	21. Meissonnier. Projekt kanapy dla marszałka Bielińskiego	69
6. Norblin. Izabella Czartoryska (klisza „Nauki i Sztuki“)	11	22. Grassi. Barbara z Bielińskich Kossowska. akwarela (Biblioteka Pawlikowskich we Lwowie)	71
7. Szytych z dzieła I. Czartoryskiej „Myśli o ogrodach“	18	23. Meissonnier. Projekt urządzenia gabinetu marszałka Bielińskiego w Warszawie	73
8. Plerisch. Łuk starożytny w Arkadji (Biblioteka Pawlikowskich we Lwowie)	19	24. Leseur. Pani Kossowska. minjatura (Galerja Tarnowskich w Dzikowie)	74
9. Gröhl. Helena Radziwiłłowa miedzioryt	21	25. Grassi. Barbara z Bielińskich Kossowska. rysunek kredką (Biblioteka Pawlikowskich we Lwowie)	75
10. Norblin. Widok Arkadji (klisza „Nauki i Sztuki“)	25	26. Vogel Z. Widok Krzeszowic. litografja (Biblioteka Pawlikowskich we Lwowie)	79
11. Bergmann. Kaplica gocka w Arkadji (Litografja w Muzeum Lubomirskich we Lwowie)	27	27. Leseur W. Julja z Lubomirskich Potocka. minjatura (Galerja Tarnowskich w Dzikowie)	81
12. Grobowiec Amalji z Brihlów Mniszchowej (wedle heljograwjury w dziele E. Świeykowskiego. „Monografja Dukli“. Kraków 1902)	31	28. Giuletta la bella rozmawia z damą swego fraucymeru, rysunek tuszem Jana Potockiego (Biblioteka Pawlikowskich Lwów)	82
13. Mengs Teresa (?) Amalja z Brihlów Mniszchowa, portret olejny z Galerji X. Radziwiłłowej w Warszawie. Fotogr. Tow. opieki n. z. p. w Warszawie	35	29. Norblin. Projekt kurtyny (klisza „Nauki i Sztuki“ we Lwowie)	87
14. Szczęsny Potocki z żoną i dziećmi (obraz olejny, fot. A. Pawlikowski Kraków)	39	30. N. Orda. Pałac w Białymstoku (drzeworyt z „Kłosów“)	88
15. Przyjęcie siostry do loży „Mopsa“ z dzieła ks. St. Załęskiego „Masonerja w Polsce“	43	31. Plerisch. Projekt dekoracji teatralnej, rysunek sepją (Biblioteka Pawlikowskich we Lwowie)	89
16. Bacciarelli M. Apoteoza Oktawiana Augusta (obraz olejny, właśc. Antoni Wieniawski w Warszawie. Fotogr. Tow. opieki n. z. p. w Warszawie)	45	32. Scena operowa w salonie francuskim, sztych (Muzeum Lubomirskich we Lwowie)	90
17. Teresa Tyszkiewiczowa (z dzieła Al. Kraushara „Burboni na wygnaniu“)	47	33. Bacciarelli. Scena w malarzni króla Imci, szkic (Biblioteka Pawlikowskich we Lwowie)	95
18. Boily. Scena z rewolucji francuskiej (Muzeum Lubomirskich we Lwowie)	55	34. Alexandra z Tyszkiewiczów Potocka. Krajobraz leśny (Biblioteka Pawlikowskich we Lwowie)	96
19. Rozalja Rzewuska (Litografja Muzeum Lubomirskich we Lwowie)	57	35. Norblin. Spektakl w Łazienkach (klisza „Nauki i Sztuki“)	101
		36. Przedstawienie w teatrze królew-	

	Str.		Str.
skim (z dzieła P. Chmielowski. Historia literatury polskiej wyd. II, t. I) . . . . .	102	44. L e s e u r. Krystyna Radziwiłłówna. minjatura (Galerja Tarnowskich w Dzikowie) . . . . .	115
37. Elżbieta z Szydłowskich Grabowska (z dzieła Korzon. Wewnętrzne Dzieje Polski t. III) . . . . .	103	45. Szkoła Bacciarellego. Portret młodej damy. fotografia Tow. opieki nad zab. w Warszawie . . . . .	116
38. P l e r s c h. Przyjazd Stanisława Augusta do Grodna. rysunek sepią (Biblioteka Pawlikowskich we Lwowie) . . . . .	105	46. Szkoła Bacciarellego. Aniela Radziwiłłówna (Galerja M. X. Radziwiłłowej w Warszawie. fotogr. Tow. op. n. zab. w Warszawie) . . . . .	117
39. Minjatura Pani Grabowskiej (Muzeum Narodowe w Krakowie) . . . . .	106	47. G r a s s i. Portret nieznannej (właściciel Dr L. Bryndza-Nacki w Warszawie), fotogr. Tow. opieki nad zab. w Warszawie . . . . .	119
40. N o r b l i n. Menuet w ogrodzie (klisza „Nauki i Sztuki“, Lwów)		48. Malarz nieznanny. Portret młodej damy (Galerja willanowska), fotogr. Tow. opieki nad zabytkami w Warszawie . . . . .	121
41. G r e u z e. Zofja z Czartoryskich Zamoyska, portret olejny (Galerja Zamoyskich w Wysocku (według reprodukcji w „Kraju“) . . . . .	110	49. Szkoła niemiecka 18-tego wieku. Scena pasterska. właśc. Marta hr. Krasinska) . . . . .	123
42. L e s e u r. Madame Łazarewicz. portret olejny (Galerja Tarnowskich w Dzikowie) . . . . .	111	50. J. B. L e P r i n c e. Miłość zakazana. Pinakoteka w Monachium. („Lanus“, 1912) . . . . .	[na okładce]
43. G r a s s i. Zofja z Czartoryskich Zamoyska („Portrety Polskie“ Mycielskiego) . . . . .	113		



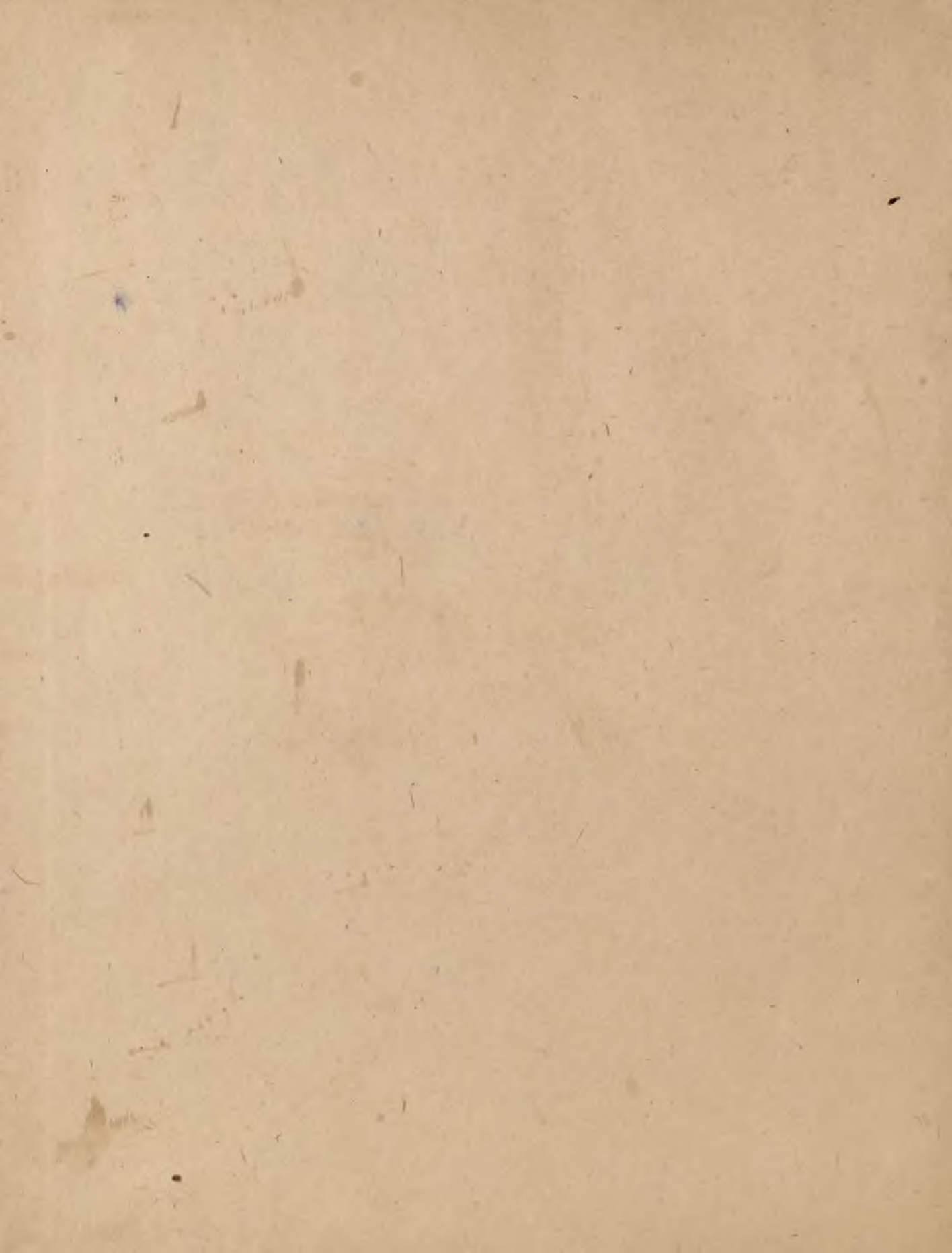
*A*UTOR Stanisław Wasylewski i wydawca Alfred Altenberg poczuwają się do wdzięczności wobec wielu osób i instytucyj, które użyczyły chętniej pomocy w zebraniu materiału ilustracyjnego tej książki. Prof. drowi Jerzemu hr. Mycielskiemu, dziękują za łaskawe zezwolenie korzystania z reprodukcij oraz za kilka cennych uwag, Zdzisławowi hr. Tarnowskiemu za użyczenie zdjęć ze zbiorów dzikowskich, Prof. drowi Józefowi Kallenbachowi i p. Stanisławowi Olexińskiemu za uprzejmą pomoc, nareszcie drowi Władysławowi Kłyszewskiemu, świetnemu znawcy zbiorów warszawskich za wielokrotnie okazaną uczynność. Muzea: XX. Czartoryskich w Krakowie i Lubomirskich we Lwowie, Biblioteka Pawlikowskich we Lwowie, Towarzystwo opieki nad zabytkami przeszłości w Warszawie, nakoniec „Książnica polska“ we Lwowie zechcą przyjąć podziękowanie za chętnie udostępnienie swych zbiorów.

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

KLISZE Z ZAKŁADÓW: »ATLAS« WE L. W O W I E.  
ST. WELANYKA ORAZ »ZORZA«, W KRAKOWIE.  
SWIATŁODRUK Z ZAKŁADU »AKROPOL.« W KRA-  
KOWIE, ROTOGRAWJURY TRAWIONE I ODBITE  
W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE







W 381



